

Barbara  
Cartland

---

Miłość w hotelu  
Ritz

## OD AUTORKI

Bywam w „Ritzu” od sześćdziesięciu sześciu lat. Jest to z pewnością najbardziej komfortowy i jak sądzę, najwspanialszy hotel na świecie.

Zawsze z przyjemnością myślałam, że wcale się nie zmienił od czerwca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego ósmego roku, czyli od chwili, gdy Cesar Ritz zaprojektował go i dokonał otwarcia.

Ritz był naprawdę geniuszem wybiegającym myślą w przyszłość. Nikt przed nim nie zbudował hotelu, w którym wszystkie pokoje miałyby łazienki, i nikt wcześniej nie urządził żadnego z takim smakiem.

Leżąc w łóżku, przyglądam się jasnym ścianom hotelu „Ritz”, które w czasach jego budowy były nowością; patrzę na śliczne jedwabne zasłony bez falbanek czy frędzli i na piękny ży-

randol — istotny wątek tej powieści — i myślę, jakie to szczęście, że Cesar Ritz dokonał przełomu w hotelarstwie.

Miał obsesję na punkcie czystości, co wówczas również stanowiło novum. Później stworzył w Londynie replikę swego paryskiego hotelu — hotel „Carlton”, który niestety został zburzony.

„Ritz” zapisał się na trwałe w historii, odkąd jego najważniejszym gościem stał się książę Walii. A po zajęciu Paryża podczas drugiej wojny światowej Niemcy właśnie tu zorganizowali swoją kwaterę główną.

Przeżyłam w „Ritzu” dni, które należały do najszczęśliwszych w moim życiu, gdy w Paryżu spędzałam z mężem miesiąc miodowy. Potem co rok, z wyjątkiem lat wojny, wracaliśmy tu, by przypomnieć sobie tamte romantyczne uczucia i pielęgnować naszą miłość. Chcieliśmy, by stała się jeszcze piękniejsza niż tuż po ślubie.

Gdyby kiedykolwiek „Ritz” miał przestać istnieć, byłaby to nie tylko strata dla Francji, ale i dla wszystkich ludzi, którzy tak jak ja przeżyli tu wspaniałe chwile.

*Książkę tę dedykuję najstynniejszemu, najwykwintniejszemu i najwspanialszemu hotelowi na świecie.*

*Spędziliśmy tu z mężem miesiąc miodowy. Przyjeżdżaliśmy potem rokrocznie — poza okresem drugiej wojny światowej — na kolejne miesiące miodowe przez dwadzieścia osiem lat szczęśliwego małżeństwa, aż do śmierci męża, który zmarł w wyniku ran odniesionych na wojnie pod Passchendaele.*

*„Ritz” ma dla mnie niepowtarzalny urok, jakiego nie znalazłabym w żadnym innym hotelu na świecie. Książka jest więc hołdem złożonym temu cudowi stworzonemu przez Cesara Ritza.*

Lord Cuttesdale miał wyjątkowo zły nastrój. Wyjeżdżał z Londynu wściekły, bo plecy bolały go tak bardzo, że nie mógł się ruszać.

Przynajmniej zakosztuje czegoś nowego — pocieszał się w myślach.

Jednocześnie całą drogę przez kanał La Manche i w pociągu do Paryża złorzeczył wszystkim angielskim lekarzom.

Podróżująca z nim córka Vilma była przyzwyczajona do jego wybuchów złości, więc nie zwracała na nie zbytnej uwagi.

Lokaj Herbert służył mu od wielu lat i wiedział, że nie należy nic mówić, dopóki burza nie minie.

Kiedy dojeżdżali do Paryża, lord zwrócił się do obojga:

— Musicie zrozumieć, że nie życzę sobie, by ktokolwiek wiedział, że jestem jak połamana lalka. Od tej chwili nazywam się pułkownik Crawshaw, a lady Vilma jest panną Crawshaw.

Ponieważ powtórzył to już kilkanaście razy, Vilma pomyślała, że ani ona, ani Herbert z pewnością nie zapomną.

W Paryżu pojechali samochodem do wspaniałego domu, który lord wynajął podczas poprzedniego pobytu od swego przyjaciela, wicehrabiego de Servaiss. Wicehrabia przebywał obecnie gdzieś na terenie kraju. Gdy jednak otrzymał list od lorda, odpisał, że z największą przyjemnością udzieli mu gościny w domu przy Rue St. Honore.

Vilma nigdy tu wcześniej nie była.

Zachwyciła ją uroda pokoi i nowoczesność elektrycznego oświetlenia.

— To miło przekonać się, papo — powiedziała — że zainstalowaliśmy je w domu najzupełniej poprawnie, bo sądzę, że Francuzi mają większe od nas doświadczenie z elektrycznością.

W odpowiedzi lord jedynie spojrzął z ukosa. Leżał w łóżku, by uśmierzyć nieco ból pleców.

Rano, gdy Vilma przyniosła mu gazety, był w nieco lepszym humorze.

— To takie podniecające — zauważyła — wczoraj otwarto nowy hotel „Ritz”. Na pewno

przybyły **tam** wszystkie osobistości, o których kiedykolwiek słyszeliśmy.

— Nie lubię hoteli — odparł stanowczo lord.

— Wiem, papo, ale mówią, że ten „Ritz” całkowicie różni się od innych hoteli. Czy możesz sobie wyobrazić, że każda sypialnia ma łazienkę?

Przez chwilę lord wyglądał, jakby zamierzał przyznać, że jest to dobre rozwiązanie. Potem jednak stwierdził:

— Księżę Walii jest całkiem zadowolony z pobytu w „Bristolu”, gdzie tylko jedna łazienka przypada na każde piętro.

Ale Vilma nie słuchała. Czytała gazetę. Umiała czytać po francusku równie dobrze jak po angielsku. Po długim milczeniu oznajmiła:

— Wyobraź sobie, że na otwarciu byli Vanderbiltowie, wielcy książęta Michał i Aleksander oraz piękna królowa. Jestem pewna, że już o niej słyszałam.

— Jeśli tak, nie powinnaś była słuchać! — warknął lord.

— A dlaczego? — zdziwiła się Vilma.

Lord przez chwilę ważył słowa, a potem rzekł:

— Ona jest kurtyzana, przyznaję, że jedną z największych, ale mimo wszystko jej imię nie

przeszłoby przez gardło twojej matce ani twemu dziadowi.

Vilma roześmiała się.

— Wiesz, papo, że możesz ze mną rozmawiać o wszystkim, i właśnie to najbardziej mnie cieszy.

Spojrzenie lorda złagodniało. Był rzeczywiście zakochany w córce. Pomyślał, że z powodu niezwyklej urody, teraz gdy została wprowadzona do towarzystwa, nie uda mu się utrzymać jej długo przy sobie.

Wyjeżdżając razem z Vilmą w czerwcu, sprawił jednak, że ominęły ją najważniejsze londyńskie bale. Ale jak zauważył, dziewczyna nie przywiązywała do tego wagi. W gruncie rzeczy o wiele bardziej odpowiadał jej wyjazd do Paryża niż wypełnianie rytuałów nakazywanych przez matki jej rówieśnicom.

Po przeczytaniu dalszego fragmentu artykułu powiedziała:

— Byli tam także Anglicy: książę Marlborough, księżęta Portland, Sutherland i Norfolk, wszyscy z żonami.

— O, to coś nowego! — wykrzyknął lord.  
— Za moich czasów, gdy jeździło się do Paryża, żony zostawiało się w domu!

Vilma szczerze się roześmiała.

— Właśnie tego rodzaju rzeczy nie powinienś mi mówić, papo!



— Sama do tego doprowadziłaś — odparował lord. — A teraz upewnij się, czy nikt z tego towarzystwa nie wie, że tu jestem. Nie chciałbym dać im okazji do kpin i szyderstw z powodu mojego pierwszego od lat upadku z konia.

— Nie ma w tym nic dziwnego, zważywszy, jak narowisty jest Herkules. Ale jeszcze będziesz na nim jeździł.

Lord nie wątpił, że tak będzie. Był znakomitym jeźdźcem. Miał pewność, że ogier kupiony od przyjaciela, który nie mógł sobie dać z nim rady, stanie się w jego rękach dziecinną zabawką. Niestety, piękny ogier Herkules wystraszył się jednej z nakrapianych saren w parku i niespodziewanie zrzucił lorda na ziemię.

Tylko Vilma wiedziała, jak bardzo jej ojciec był dumny z opinii świetnego jeźdźca. Zdawała sobie sprawę, że czułby się mocno dotknięty, gdyby któryś z jego przyjaciół rozprawiał o tym pechowym upadku.

— Nikt się nie dowie, że tu jesteś, papo — uspokajała go — a ja postaram się zapamiętać, że jestem panną Crawshaw. Nie będę nawet kłamać, bo to jedno z twoich nazwisk.

Lord należał do bardzo starego rodu, wywodzącego się jeszcze sprzed panowania Tudorów. Jego przodkowie przed wiekami uzyskali prawo

do tytułu „Crawshaw”. Lord tradycyjnie używał go, podróżując za granicę, zwłaszcza gdy nie chciał sprawiać kłopotu ambasadzie brytyjskiej lub pragnął uniknąć kontaktu z cudzoziemcami szukającymi towarzystwa arystokratów. Ale nigdy jeszcze nie pragnął zachować incognito tak bardzo jak w tej chwili.

Wzdrygnął się lekko na myśl, jak obdarzony złośliwym poczuciem humoru Marlborough dworowałby sobie z jego upokarzającego położenia. Wyglądał na pogrążonego w depresji, więc Vilma podeszła do łóżka i pochyliła się, by pocałować go w policzek.

— Głowa do góry, papo! — powiedziała z naciskiem. — Jestem pewna, że ten polecony człowiek dokona cudu i wkrótce będziesz znowu jeździł jak zawsze, ku podziwowi i zazdrości obserwatorów.

— Dobra z ciebie dziewczyna, Vilmo — odrzekł lord. — Okiełznam tego przekłętego ogiera, nawet gdybym miał przypłacić to życiem.

Vilma wiedziała, że nie ma sensu dyskutować na ten temat. W dalszym ciągu czytała artykuł o otwarciu hotelu „Ritz”. Opisywano, jak bardzo zdumieni byli wszyscy goście. Ponieważ Cesarz Ritz wywołał sensację, we wszystkich gazetach poświęcono wiele miejsca omówieniu jego dotychczasowej kariery. Podkreślano, jak bardzo

mu zależało, by zbudować hotel odmienny od wszystkich.

Vilma wyczytała, że Cesar Ritz urodził się w tysiąc osiemset pięćdziesiątym roku w szwajcarskiej wiosce w Niederwaldzie. Był trzynastym dzieckiem w starej, skromnej chłopskiej rodzinie.

Wizerunek zwieńczenia pieca kaflowego z pokoju dziennego tej rodziny został umieszczony na papierze firmowym hotelu.

W dzieciństwie Cesar pasął gęsi i krowy należące do ojca, który był sołtysem w rodzinnej wiosce. Liczyła ona około dwustu mieszkańców. Chłopiec chodził do miejscowej szkoły, chociaż ojciec uważał, że to strata czasu. Matka miała jednak większe ambicje w stosunku do swych dzieci. Cesar już jako dorastający chłopiec dokładnie wiedział, co chce robić w życiu. W wieku dwunastu lat posłano go do Sion na naukę francuskiego i matematyki. Zabrakło mu cierpliwości, by ukończyć kurs, i został pomocnikiem kelnera w winiarni.

Kiedy Vilma przeczytała artykuł, spojrzała na ojca i oznajmiła:

— „Le Jour” zamieszcza bardzo interesującą opowieść o życiu Cesara Ritza, papo. Sądzę, że chciałbyś ją przeczytać.

— Nie interesują mnie kelnerzy — burknął lord.

— On jest teraz kimś znacznie ważniejszym — rzekła Vilma — mimo że spędził wiele czasu na pastowaniu podłóg, szorowaniu i bieganiu po schodach z bagażami i tacami.

— Nie mogę pojąć, czemu nie poczytasz czegoś inteligentniejszego — powiedział lord nieco kąśliwie. — Jesteśmy w Paryżu, najbardziej cywilizowanym mieście świata, a ty tracisz czas na roztrząsanie przypadku jakiegoś nieznanego właściciela hotelu.

Vilma roześmiała się. Wiedziała, że ojciec zawsze ma inne zdanie niż ona i że to właśnie sprawia, iż rozmowy ich skrzą się dowcipem. Nieustannie się sprzeczali, wyęzając ze wszystkich sił swą inteligencję, by odeprzeć argumenty drugiej strony.

— No cóż, mogę tylko powiedzieć, że bardzo bym chciała znaleźć się w hotelu „Ritz” i zobaczyć, czym różni się od tych, w których bywaliśmy. Wyobraź sobie, papo! Bez ciężkich tkanin, pluszów i aksamitów, bo pan Ritz uważa, że są siedliskiem kurzu.

— Zakładam, że jest tam jak w wojskowych koszarach! — wymruczał lord.

Córka nie odpowiedziała, pogrążona w lekturze. Potem wykrzyknęła:

— A co byś powiedział na to, o czym piszą? Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnęła:

— Zaledwie przedwczoraj dostarczono wygodne krzesła do jadalni, a wtedy pan Ritz uznał, że stoły są w stosunku do nich za wysokie i trzeba je zwrócić i obniżyć. Żona się z tym zgodziła, a Ritz wybiegł i zobaczył, że samochód dostawczy, który przywiózł krzesła, właśnie odjechał. Biegł za nim w deszczu i krzyczał: „Każdą nogę stołu o dwa centymetry! Muszą być tutaj za dwie godziny!” Powiedziano mu, że to niemożliwe, ale dopiął swego i stoły przywieziono z powrotem. Kelnerzy kończyli je nakrywać, gdy zajęchały powozy pierwszych gości.

— Nie powinien był zostawiać tego na ostatnią chwilę — zauważył lord.

— Myślę, że to niezwykła historia — skomentowała Vilma. — Och, proszę, papo, zabierz mnie do hotelu „Ritz” przed wyjazdem z Paryża!

— Po to, by spotkać tam kogoś znajomego? — spytał lord. — Oczywiście; że nie! Gdy tylko wydobrzeję, wracamy do Londynu, a ty wytańczysz się na wszystkich balach, jakie jeszcze będą w tym sezonie.

Vilma nie odpowiedziała. Stwierdziła, że musi poznać trochę Paryż, zanim wróci do Londynu. Przygotowała już nawet listę miejsc, które chciałyby zobaczyć. Otwierał ją Luwr, a zamykało akwarium w parku Bois. Trudność polegała

na znalezieniu kogoś, kto mógłby jej towarzyszyć podczas tej wyprawy. Uświadamiała sobie, że nie może wyjść na ulicę sama. Nie pozwolono jej zabrać własnej damy do towarzystwa, bo ojciec za wszelką cenę chciał uniknąć plotek na temat swego wypadku. Wiedziała, że nie uda jej się nakłonić Herberta, by zostawił swego pana samego.

Coś wymyślę — obiecała sobie bez przekonania i dalej czytała historię Ritza.

Jeszcze tego samego dnia pojawił się mężczyzna, o którym mówiono, że świetnie sobie radzi ze zwichniętymi barkami.

Nazywał się Pierre Blanc. Najpierw rozmawiał z Vilma, która wyjaśniła, co się stało. Uświadomiła mu, jak bardzo zależy ojcu na szybkim odzyskaniu takiej formy, by znowu mógł jeździć konno.

— Jest w Anglii sławnym jeźdźcem i dlatego nie chce, by ktokolwiek dowiedział się, co mu się przydarzyło — oznajmiła.

— Potrafię to zrozumieć, mademoiselle — odparł mężczyzna — i obiecuję, że monsieur wkrótce wydobreje i nawet nie będzie pamiętał, że kiedyś miał takie niemiłe dolegliwości.

Mówił z takim przekonaniem, że Vilma była zachwycona.

— Mam nadzieję, że wkrótce doprowadzi pan mego ojca do dobrej formy. Bardzo nie lubi chorować.

Pierre Blanc rozłożył ręce.

— A kto lubi? Zwłaszcza będąc w Paryżu?

— Teraz zaprowadzę pana na górę — rzekła Vilma.

— Zanim tam pójdziemy, mademoiselle — przerwał jej Pierre Blanc — musi mi pani obiecać, że będzie pilnować, by ojciec dokładnie wypełniał moje polecenia.

— Spróbuję — odpowiedziała Vilma z pewnym wahaniem.

— Najważniejsze, by po każdym moim zabiegu odpoczywał. Niemal w każdym przypadku pacjent od razu zasypia. Ale jeśli pani ojciec nie zaśnie, musi leżeć spokojnie na plecach, a wtedy nic i nikt nie może mu przeszkadzać ani go denerwować. Zrozumiała pani, mademoiselle?

— Oczywiście, monsieur — odparła Vilma — obiecuję, że papa będzie miał spokój i nikt i nic go nie zakłóci. /

— Właśnie o to chodzi! — wykrzyknął Pierre Blanc. — A teraz, mademoiselle, mogę już iść do pacjenta.

Vilma zaprowadziła go na górę do obszernego pokoju, zajmowanego przez ojca. Było to największe pomieszczenie w domu. Chociaż

lord nigdy by się do tego nie przyznał, wiedziała, że liczył czas do przyjścia Pierre'a Blanca. Gdy panowie się przywitani, Vilma zeszła na dół. Teraz miała czas dla siebie i mogła zwiedzić trochę Paryż, chociaż odrobinę. Zastanawiała się, czy może poprosić jedną ze służących, by jej towarzyszyła. Zauważyła jednak, że służba jest w średnim lub starszym wieku. Pomyślała, że taka prośba mogłaby się spotkać z niechętnym przyjęciem, skoro pokojówki pracowały przez całe przedpołudnie.

— Muszę wyjść, po prostu muszę — powtarzała sobie.

Ku jej zdumieniu drzwi się otworzyły. Siwo-łosy kamerdyner, który służył u wicehrabiego od trzydziestu lat, zaanonsował:

— Pan Cesar Ritz do pani, mademoiselle.

Vilma była tak zaskoczona, że przez chwilę myślała, że to jakiś żart. Do pokoju wszedł niski ciemnowłosy mężczyzna. Znała go ze zdjęć w gazecie i nie miała wątpliwości, że naprawdę stoi przed nią Cesar Ritz. Na pewno widziała już to wysokie czoło, dużą łysinę i sumiaste wąsy.

Był to właściciel hotelu we własnej osobie. Vilma wpatrywała się w niego, gdy przechodził przez pokój, ukłonił się z szacunkiem i powiedział:



— Proszę mi wybaczyć, mademoiselle, że zakłócam pani spokój, ale zwracam się z prośbą o wielką przysługę. Nie spodziewałem się, że zastanę kogoś w domu, i dopiero przed chwilą się dowiedziałem, że jest tu pani wraz z ojcem.

— Przyjechaliśmy przedwczoraj — oznajmiła Vilma.

— To właśnie powiedział mi służący — odparł Cesar Ritz — więc muszę wyjaśnić pani powód swego przybycia.

Mówiąc to, wydawał się zmartwiony, jakby obawiał się, że rozmówczyni nie zechce spełnić prośby, z którą tu przyszedł.

— Proszę usiąść, monsieur Ritz — zaproponowała Vilma — właśnie czytałam o pana wspomniałym hotelu.

Po tych słowach wskazała najbliższy fotel. Cesar Ritz usiadł i powiedział:

— Miałem szczęście, dużo szczęścia. Wie pani, mademoiselle, cały czas w głębi duszy obawiałem się, że ci, na których liczę, nie przyjdą. Ale zjawili się! Niemal wszyscy. Jednak tym samym sprawili mi pewien kłopot.

— Jaki kłopot?

— Właśnie w tej sprawie przyszedłem.

— Proszę powiedzieć, o co chodzi — Vilma starała się ułatwić mu sytuację.

Cesar wziął głęboki oddech, zanim wyjaśnił:

— Nigdy nie marzyłem, nigdy nie byłem tak zarozumiały, by przypuścić, że wszystkie pokoje zostaną natychmiast zarezerwowane. Ale, może pani uwierzyć lub nie, mademoiselle, mój hotel jest już zajęty!

Vilma pomyślała, że powiedział to tonem podekscytowanego uczniaka, i odparła z uśmiechem:

— Cieszę się, monsieur. Z pewnością czuje się pan usatysfakcjonowany, że pańska ciężka praca została w pełni doceniona.

— Jestem naprawdę bardzo szczęśliwy — odpowiedział Cesar Ritz — ale dokucza mi jedna rzecz, a przyrzekłem sobie, że gdy otworzę swój hotel, będzie on najdoskonalszy ze wszystkich.

— Właśnie czytałam o tym w gazetach — oznajmiła Vilma — i jestem pewna, że jest idealny.

— Niestety, ma jedną wadę.

— Cóż by to mogło być?

— Żyrandole w sypialniach są wzorowane na jednej z lamp w tym domu. Po prostu wicehrabia de Servaiss powiedział, że uważają za jeden z najlepszych modeli, z jakimi w ogóle się zetknął.

— Więc pan ją skopiował.

— Tak właśnie było. Ale kiedy zakładano te żyrandole, jeden się stłukł.

— Co za pech! - krzyknęła Vilma.

— Rzeczywiście — przytaknął Cesar Ritz  
— ale nie byłoby problemu, gdyby nie to, że pokoj ma dziś wieczorem zająć hrabia Gaston de Foret, bardzo licząca się w Paryżu osoba.

Przerwał i po chwili mówił dalej:

— Nigdzie indziej nie mogę go umieścić, nigdzie! A w jego sypialni nie ma żyrandola.

Powiedział to tonem tak tragicznym, że Vilma z trudem powstrzymała śmiech.

— A zatem jak mogłabym panu pomóc, monsieur? — spytała.

— Przychodząc tu, byłem przekonany, że wicehrabia, którego zaopatruję od lat i który dodawał mi otuchy w realizacji moich ambitnych planów, pożycz mi jeden ze swoich żyrandoli aż do czasu, gdy będę mógł go zastąpić tym, który zamówiłem.

Głos mu się załamał, gdy mówił błagalnie:

— Proszę, mademoiselle, niech pani będzie tak wspaniałomyślna i pozwoli mi wziąć jeden z nich, tylko na kilka dni, dopóki nie zostanie zrealizowane zamówienie, które złożyłem w fabryce.

Vilma uśmiechnęła się.

— Ależ oczywiście, monsieur, z przyjemnością. Jestem pewna, że jest sporo żyrandoli w domu i może pan wybrać taki, jaki zechce.

Cesar Ritz klasnął w ręce.

— *Merci, merci*, mademoiselle! To więcej niż uprzejmość z pani strony! Nie wiem, jak mam dziękować! Jak bym mógł umieścić hrabiego w źle wyposażonym pokoju, bez górnego światła na suficie?

Vilma wstała.

— Proszę pójść i zobaczyć, który panu odpowiada — zaproponowała.

Podeszła do drzwi, a Cesar Ritz uchylił je przed nią. Wiedziała, że żyrandole w pokoju przyjęc będą za duże do sypialni. Weszła więc na górę i otworzyła drzwi do nieużywanego pokoju.

Pod sufitem wisiała elegancka okrągła lampa, wierna kopia tej, jaką miała w swoim pokoju, z sześcioma ramionami na świece. Cesar Ritz spojrział w górę i klasnął w dłonie.

— Właśnie taka jest mi potrzebna i taką zamówiłem — powiedział — tylko ta nie jest przystosowana do elektryczności. Ale to łatwo da się przerobić i jestem pewien, że wicehrabia będzie zadowolony, gdy oddam mu ją przerobioną na elektryczną, tak jak większość lamp w jego domu.

— Zwróciłam uwagę, jak zręcznie część lamp została przystosowana do prądu elektrycznego — rzekła Vilma. — Ale jednocześnie wi-

cehrabia nadal używa świec, które według mnie są stosowniejsze.

— Nie widziała pani jeszcze mojego oświetlenia — odpowiedział Cesar Ritz. — Spędziłem wiele godzin, dosłownie całe godziny, mademoiselle, by wybrać najbardziej atrakcyjny, moim zdaniem, odcień światła, odpowiedni zwłaszcza dla pięknych pań.

— Czytałam o tym — wtrąciła Vilma.

— Dzień w dzień pracowałem z elektrykiem, sprawdzając, jak różne barwy oświetlenia wpływają na karnację mojej żony — wyjaśnił monsieur Ritz. Wykonał gest dłońmi i ciągnął dalej: — W końcu doszedłem do wniosku, że najbardziej do twarzy jest jej w delikatnym odcieniu brzoskwini, i taką barwę zastosowałem w całym hotelu.

— To brzmi fantastycznie! — zachwyciła się Vilma. — Chciałabym to zobaczyć!

— Czemu nie? — odparł Cesar Ritz. — Z prawdziwą dumą pokażę pani, mademoiselle, do czego doszedłem, starając się urzeczywistnić swoje marzenia. — Dostrzegł wyraz oczu Vilmy i dodał: — Proszę pójść ze mną, mademoiselle, proszę iść ze mną od razu! Wiem, że nie zaskoczy pani informacja, iż na dworze czeka elektryk, który zdejmie ten żyrandol i będziemy mogli go zabrać z sobą.

Vilma wzięła głęboki oddech. Wiedziała, że nie powinna tego robić. Jednak ojciec, który musiał leżeć po zabiegach, nie zorientuje się przecież, że wyszła z domu. Wahala się przez chwilę. Pokusa okazała się tak silna, że Vilma w końcu się zdecydowała.

— Proszę wezwać swojego elektryka, monsieur, a ja wezmę kapelusz i będę mogła panu towarzyszyć.

— Jest pani bardzo łaskawa — odparł Cesar Ritz. Zbiegł ze schodów jak młodzieniec, a nie mężczyzna w sile wieku.

Elektryk nad podziw szybko uporał się ze zdjęciem z sufitu żyrandola. W tym czasie Vilma zdażyła przejść z sypialni do hallu, gdzie czekał na nią Cesar Ritz.

Przed domem stał bardzo wygodny powóz, zaprzężony w dwa konie. Elektryk usiadł na koźle obok woźnicy, a Vilma i Ritz zajęli miejsca w środku.

Dopiero gdy znaleźli się na placu Vendôme, ośmieliła się powiedzieć:

— Myślę, że pan zrozumie, monsieur, iż nie byłoby wskazane, bym spotkała kogoś z Londynu. Mój ojciec nie chce, by ktokolwiek z jego przyjaciół dowiedział się, że jest w Paryżu. Miał niegroźny wypadek i jest teraz poddawany specjalnym zabiegom.

Dla podkreślenia tego, co właśnie powiedziała, dodała tonem wyjaśnienia:

— Nie wolno mu przyjmować żadnych gości, a byłoby to dla mnie bardzo kłopotliwe, gdybym musiała kogokolwiek odsyłać.

— Oczywiście, mademoiselle, rozumiem — odrzekł Cesar Ritz. — Nie podjedziemy od głównego wejścia, od strony placu Vendôme, ale wejdziemy do hotelu od tyłu. Zresztą taki miałem zamiar.

Vilma domyślała się, że chodziło mu o to, by nikt się nie dowiedział, że był zmuszony wypożyczyć żyrandol do swego „idealnego” hotelu. Kiedy wysiadła z powozu, Cesar Ritz szybko skierował ją ku bocznym schodom prowadzącym na pierwsze piętro.

— Chciałbym, by pani obejrzała najlepsze apartamenty w hotelu, które na szczęście będą puste aż do wieczora. Goście, którzy w nich mieszkali wczoraj, wyjechali rano.

Vilma zdążyła już docenić fakt, że korytarze są przestronne, a ściany przeważnie pomalowane, a nie wytapetowane. Jasny, rzucający się w oczy dywan miał tradycyjny wzór.

Cesar Ritz oprowadził ją po obszernym apartamencie wychodzącym na plac Vendôme. Zachwyił ją przepych. Na ścianach wisały jedynie wielkie lustra. Nie było tu, jak przeczytała w ga-

zetach, żadnych pluszów czy aksamitów, a zasłony nie miały żadnych falbanek i „ozdóbek”.

- U mnie nie będzie drewnianych łóżek
- wyjaśnił Cesar Ritz, gdy weszli do sypialni.
- Mosiadz jest bardziej higieniczny.

Tak jak się spodziewała Vilma, oświetlenie dawało brzoskwiniowe światło. Wiedziała, że wieczorem każda kobieta będzie się w nim wspaniale prezentować. Znajdowały się tu również wbudowane szafki, a salon umeblowany był obszernymi wygodnymi fotelami. Wszędzie stały kwiaty, a egzotyczne owoce na półmiskach czekały na niespodziewanych gości.

— Tu jest ślicznie, monsieur, po prostu ślicznie! — wykrzyknęła Vilma.

Przeszli spory kawałek korytarzem, zanim dotarli do pokoju, w którym brakowało żyrandola. W innych pokojach zawieszono je u sufitu na jedwabnych sznurach. W pokoju, do którego weszli, wisały sznury, ale nie było lampy.

— Teraz rozumiem, dlaczego tak rozpaczliwie potrzebował pan żyrandola, który pan wypożyczył od wicehrabiego — zauważyła Vilma.

— Wszystko zawdzięczam pani, mademoiselle — odparł Cesar Ritz z galanterią. — Gdyby pani mi odmówiła, musiałbym chyba usiąść pod jej drzwiami i płakać!

Vilma roześmiała się.



— Nie moglibyśmy do tego dopuścić, nie teraz, gdy jest pan królem wszystkich hotelarzy i najpopularniejszym człowiekiem w Paryżu.

Zauważyła, jak bardzo ucieszył Ritza ten komplement. Pomyślała, że brzmi to lepiej po francusku niż po angielsku.

Kiedy tak rozmawiali, wszedł elektryk ze składaną drabiną. Ustawił ją na środku pokoju. Za nim wkroczyło dwóch służących niosących żyrandol. Trzymali go tak, by elektryk mógł umocować go jedwabnymi sznurami.

Vilma przyglądała się niegdyś pracy elektryków, gdy instalowali lampy w domu jej ojca. Doszła do wniosku, że tutejszy fachowiec był sprawniejszy od tamtych Anglików. Obserwowała go nadal, gdy ktoś wszedł do pokoju i powiedział coś Cesarowi Ritzowi na ucho.

— Proszę mi wybaczyć, mademoiselle, że panią zostawię, ale jestem potrzebny gdzie indziej — odezwał się hotelarz. — Wróć, gdy tylko będę mógł.

— Oczywiście, monsieur, z przyjemnością tu zostanę.

Ritz skłonił się jej i pospiesznie wyszedł. Vilma ciągle przyglądała się pracy elektryka. Gdy zainstalował oprawki do lampy, zszedł z drabiny i powiedział:

— Muszę przynieść żarówki, panienko.

Po jego wyjściu Vilma przyjrzała się żyrandolowi. Zauważyła na nim ślady brudnych rąk osób, które go niosły. Wiedziała, że Cesar Ritz zdenerwuje się tym po powrocie. Na podstawie tego, co jej powiedział, i tego, co przeczytała, doszła do wniosku, że jest prawdziwym fanatykiem w sprawach dotyczących higieny.

Postanowiła wyczyścić lampę. Rozejrzała się wokół. Drzwi do łazienki były otwarte. Znalazła tam flanelowy ręcznik przygotowany dla gości. Stwierdziła, że łazienka wygląda bardzo elegancko dzięki Wielu lustrom. Kurki przy wannie i prysznicu były ze złota.

Wróciła do sypialni. Właśnie miała wejść na drabinę, gdy uświadomiła sobie, że będzie jej przeszkadzał kapelusz. Zdjęła go więc i położyła na krześle wraz z rękawiczkami. Wspięła się na drabinę i delikatnie wytarła ślady palców. Była zadowolona, że łatwo zeszyły. Zauważyła jednak, że cały żyrandol jest nieco zakurzony. Właśnie czyściła go od wewnątrz, gdy z dołu dobiegły ją słowa:

— Cóż za śliczny anioł zstąpił z nieba, by oświecić mnie właśnie wtedy, gdy najbardziej tego potrzebuję?

Vilma spojrzała w dół i zobaczyła bardzo elegancko ubranego mężczyznę, który się jej przyglądał. Wyglądał na Francuza i mógł mieć

trzydzieści kilka lat. Jednak wyraz jego oczu i sposób mówienia trochę ją zdenerwowały.

— Ja... ja właśnie odkurzałam żyrandol, monsieur — wyjaśniła.

— Niewątpliwie polerujesz też gwiazdy, by błyszczały na niebie — odpowiedział.

Znowu jego słowa wprawiły Vilnę w zakłopotanie, spojrzała na niego i rzuciła szybko:

— Ja... ja już skończyłam.

— Zatem pomogę ci zejść na ziemię. — Mówiąc to, Francuz podszedł bliżej.

Wyciągnął ręce w jej stronę, jakby miał zamiar ją chwycić w ramiona, ale Vilma zaprotestowała:

— Nie, nie! Nie potrzebuję pomocy. Proszę mnie zostawić... samą.

— Właśnie tego, mój prześliczny aniele, nie mam zamiaru zrobić — odparł Francuz. — Spłynęłaś z niebios do mojego pokoju, więc czemu miałbym odrzucać dar bogów?

Vilma zorientowała się, że ma do czynienia z hrabią Gastonem de Foretem. Zwracając się do niej, wyciągnął rękę i poczuła, że dotyka jej kostki. Wiedziała, że gdy zejdzie z drabiny, wpadnie mu w ramiona.

— Proszę... niech mnie pan zostawi, monsieur! — powiedziała z gniewem. — Nie ma pan prawa mnie dotykać!

— Pozwól sobie wyjaśnić, do czego mam prawo — odrzekł hrabia. — Chcę przytulić cię do siebie, a niczego tak nie pragnąłem od dłuższego czasu.

Vilmę przestraszył jego nieznoszący sprzeciwu sposób mówienia. Zrozumiała, że jeśli zrobi chociaż krok w dół, mężczyzna będzie mógł ją objąć. Bała się, że potem spróbuje ją pocałować.

Nigdy przedtem nie była w takiej sytuacji i nie miała pojęcia, co robić.

— Niech pan odejdzie, monsieur — nalegała. — Chcę zejść z drabiny i opuścić pokój.

— Z pewnością cię przed tym powstrzymam — odparł hrabia.

Zacisnął palce wokół jej kostki i Vilma pomyślała, że zaraz ją pociągnie ku sobie. Trzymając się mocno szczytu drabiny, krzyknęła:

— Na pomoc! Ratunku!

Wiedziała jednak, że ani elektryk, ani monsieur Ritz nie zdążąliby tak szybko wrócić. Poczuli, że ręka Francuza przesuwają się nieco wyżej, po nodze, i krzyknęła ponownie:

— Ratunku! Niech mi ktoś pomoże! Błagam, pomocy!

Ze strachu bezwiednie przeszła na angielski. Ku swemu zdumieniu i głębokiej uldze usłyszała zadane w tym języku pytanie:

— Czy to możliwe, by jakaś moja rodaczka miała kłopoty?

W drzwiach stanął jakiś mężczyzna, a hrabia odwrócił się ku niemu.

— Och, to pan, Lynworth! — krzyknął. — Co pan tu robi?

— Oczywiście przychodzę, by wyratować damę z opresji. Przypuszczam, de Foret, że pan znowu próbuje swoich sztuczek.

— To mój pokój, a pan nie ma prawa tu wchodzić! — odparował hrabia, patrząc gniewnie na przybysza.

Viłma ześlizgnęła się z drabiny z przeciwnej strony, niż stał Francuz. Rzuciła się ku drzwiom, bojąc się, że będzie próbował jej przeszkodzić. Nie mogła jednak uciec, bo wejście tarasował wysoki, barczysty Anglik. Wziął ją za rękę, mówiąc:

— Jest pani teraz całkiem bezpieczna. Jako szlachetny rycerz wybawiłem panią od złego smoka.

Jego głos brzmiał zaczepnie, a oczy błyszczały złowrogo, gdy patrzył na hrabiego.

— Któregoś dnia dam ci nauczkę, Lynworth — zagroził de Foret.

— Wątpię, panie hrabio, ale oczywiście jestem gotów odpowiedzieć na każde pańskie wyzwanie.

Mówiąc to, Anglik odwrócił się, ujął Vilnę pod ramię i skierował w stronę korytarza. Dopiero gdy oddalili się nieco od pokoju hrabiego, Vilma krzyknęła:

— Mój kapelusz!... Zostawiłam tam kapelusz!

Anglik wyjął klucz z kieszeni i otworzył drzwi do pokoju w innej części korytarza.

— Proszę tu poczekać, ja go przyniosę. Będzie tu pani całkiem bezpieczna.

Vilma bez oporu weszła do pokoju. Anglik zamknął za sobą drzwi, a Vilma usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Znajdowała się w wytwornym salonie. Ze strachu brakowało jej tchu, była zupełnie wytracona z równowagi. Jednak twarzo powiedziała sobie, że wina leży po jej stronie.

Przede wszystkim nie powinna była przychodzić do hotelu „Ritz”. Popełniła też wielki błąd, zostając sama w pokoju hrabiego, gdzie mógł on w każdej chwili wejść i nabrać przekonania, że jest jedną ze służących Cesara Ritza.

Papa by się wściekł! — pomyślała.

Była bardzo wdzięczna mężczyźnie, który wybawił ją z opresji.

Ponownie usłyszała zgrzyt klucza w drzwiach. Po chwili w salonie pojawił się Anglik z jej kapeluszem w ręku.

— Pani wielbiciel — powiedział z kpina  
— chciał zatrzymać go na pamiątkę, ale udało  
mi się go odebrać.

— Dziękuję, och, dziękuję! — zawołała Vil-  
ma. — Jestem panu bardzo wdzięczna, że mnie  
pan... uratował.

scandalous

Markiz Lynworth przyjechał do Paryża pod wpływem impulsu. Był przystojnym, bardzo atrakcyjnym mężczyzną i używał pełni życia — jeśli krewni nie usiłowali go właśnie swatać.

W młodości przeżył nieszczęśliwą miłość. Wówczas, postanowił, że ożeni się dopiero wtedy, gdy będzie potrzebował syna, który by się nim zajął na starość. Miał niewiele ponad trzydziestkę, starość wydawała mu się bardzo odległą, więc wcale mu się nie spieszyło.

Ale był jedynakiem. W związku z tym nie tylko dziadkowie i matka, ale także niezliczona rzesza ciotek, wujków i kuzynów w taki czy inny sposób przynaglała go do małżeństwa.

Im bardziej go zadręczali, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że każdy dłuższy związek z kobietą śmiertelnie by go znudził. Do-



tyczyło to zwłaszcza tego rodzaju kobiet, które rodzina uznawała za odpowiednie, by mogły zostać markizami Lynworth.

Był wyjątkowo dobrym jeźdźcem, doskonałym graczem w polo i znanym myśliwym. Należało do niego dziesięć tysięcy akrów ziemi, miał więc czym się zajmować, a przy tym dawało mu to swoistą satysfakcję. Oczywiście w jego życiu było bardzo wiele kobiet. Z pewnością jednak nie przypominały dziewcząt, z którymi mężczyźni się żenią, niedoświadczonych i onieśmiałonych, jakie często widywał w salach balowych.

Romansując, zachowywał się nadzwyczaj taktownie. Był tak dyskretny, że mimo krążących plotek nie można mu było zarzucić nic konkretnego. Kłopot polegał na tym, że owe panie — skądinąd za każdym razem mężatki — po kolei się w nim zakochiwały. A zakochana kobieta jest zawsze zazdrosna i bardzo zaborcza.

Przez lata markiz nauczył się w porę wycofywać z romansu i znikać. Coś takiego przydarzyło mu się właśnie w tym czasie.

Uczucie, jakim darzyła go lady Maxwell, stało się coraz bardziej tajemnicą poliszynela. Dlatego postanowił, że musi wyplatać się z tej sytuacji, która stała się nie tylko niewygodna, ale także zbyt widoczna dla otoczenia. Wiedział jednak, że nie będzie to łatwe. Nie chciał wyjeź-

dzać z Londynu u szczytu sezonu towarzyskiego, chyba że byłoby to absolutnie konieczne.

Jako najlepszy kawaler do wzięcia był chętnie zapraszany przez wszystkie panie z towarzystwa. Bez niego nie odbyło się żadne przyjęcie wydawane przez księcia Walii w Marlborough House.

— Do licha — mamrotał do siebie. — Czemu miałbym zniknąć, skoro nie mam ochoty wyjeżdżać z Anglii?

Na jego komodzie leżał liścik od lady Maxwell. Doskonale wiedział, co mogła napisać i czego chciała.

Pomyślał, że było czystą głupotą z jej strony przesyłać mu korespondencję do domu przez jednego ze służących męża, noszącego liberię z herbem Maxwella.

Plotki roznosili nie tylko lokaje Maxwellów, jego oczywiście również. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że wiadomości o romansach ludzi z towarzystwa krążą wśród służby i przenoszą się z domu do domu.

Nie zdążył jeszcze przeczytać liściku od lady Maxwell, gdy przyniesiono mu na górę kolejny. Tym razem od matki.

Otworzył go szybko, zaciekawiony. Delikatnym, lecz czytelnym charakterem pisma skreślone były słowa:

*Kochanie!*

*Nie czuję się zbyt dobrze, więc chciałabym Cię zobaczyć jak najszybciej. Wiem, że przyjazd do mnie nie jest dla Ciebie atrakcją w tej chwili, ale jeśliby Ci się udało wpaść dziś czy jutro, byłabym bardzo wdzięczna.*

*Całuję Cię mocno, Najdroższy Synu, z radością Cię zobaczę.*

*Twoja kochająca matka*

*Muriel Lynworth*

Markiz patrzył na list zmartwiony. Wiedział, że matka ma słabe zdrowie. Zastanawiał się, czy lekarze planują jej operację, czy może zalecą pobyt w szpitalu. Bardzo się tego bała. Odłożył list i polecił lokajowi:

— Sprowadź do mnie natychmiast pana Butterwortha.

Był to jego nieoceniony sekretarz, który umiał sobie radzić ze wszystkimi jego osobistymi sprawami. Zarządzał Lyn House w Londynie, czuwał nad domem markiza w Newmarket i pilnował domku myśliwskiego w Leicestershire. Utrzymywał stały kontakt ze swym zastępcą. Był to także świetny organizator, który doglądał Lyn Hall w Oxfordshire i tamtejszych posiadłości.

Kiedy Butterworth pośpiesznie wszedł do pokoju, markiz był już prawie ubrany.

— Chciał się pan ze mną widzieć, lordzie  
— rzekł lekko zdyszany.

— Tak, Butterworth. Dostałem list, w którym matka prosi mnie o przybycie. Każ przygotować powóz za godzinę i odwołaj wszystkie dzisiejsze spotkania.

Butterworth zajął do notesu.

— Wasza lordowska mość jest umówiony na lunch z hrabiną de Gray i wieczorem na kolację w Marlborough House.

Markiz zastanawiał się chwilę.

— Myślę, że uda mi się wrócić na kolację w pałacu Marlborough. Książę się denerwuje, kiedy jego goście sprawiają zawód w ostatniej chwili.

Butterworth pokiwał głową.

— Zawiadomię hrabinę, że pan nie może dziś przyjść. Czy wysłać jej kwiaty?

— Tak, oczywiście — przytaknął markiz.

— Kosz orchidei. Ma do nich słabość.

Przemknęła mu myśl o innych kobietach, które lubiły orchidee. Na ogół tylko dlatego, że były to najdroższe kwiaty — pomyślał cynicznie.

Butterworth zrobił sobie odpowiednią notatkę i spytał:

— Czy to wszystko, lordzie?

Markiz zawahał się i po chwili namysłu dodał:

— Wyślij także orchidee lady Maxwell i powiedz, że nie mogę przyjść dziś po południu, jak się umawialiśmy.

— Oczywiście, lordzie.

Butterworth wyszedł z pokoju.

Markiz ostatni raz rzucił okiem na swe odbicie w lustrze. Musiałby być głupcem, żeby nie zdawać sobie sprawy, że jest przystojnym, a właściwie wyjątkowo przystojnym mężczyzną.

W tej samej chwili lekko zmarszczył brwi i zacisnął usta. Przypomniał sobie, jak bardzo zaborcza była lady Maxwell poprzedniego wieczoru. Było to na balu urządzonym przez księżnę Devonshire. Każde z nich przyszło na przyjęcie ze swoim towarzystwem. Kiedy markiz wszedł do sali balowej w pałacu, Joan Maxwell krzyknęła z radości i natychmiast ruszyła w jego stronę.

Ponieważ wszystkie szacowne wdowy były już obecne, markiz nie miał wątpliwości, że zauważyły jej zachowanie. Nie uroniły nawet wyrazu jej oczu, gdy przytuliła się do jego ramienia. Potem tańczyła z nim, nie zachowując wymaganego dystansu.

Kiedy markiz przeglądał się w lustrze, dostrzegł odbijający się w nim liścik od lady Maxwell. Nierozcięta jasnobłękitna pachnąca koperta leżała tam, gdzie ją odłożył. Zawahał się

chwile. Potem wyszedł z sypialni, nie ruszając listu.

Nie odezwał się do lokaja. Barker, który od dawna dobrze znał swego pana, uśmiechał się do siebie, wychodząc za nim z pokoju.

Jeszcze jedna z głowy! — pomyślał. — I to w samą porę!

Markiz byłby pewnie zaniepokojony, gdyby wiedział, jak bardzo służący interesują się jego romansami. Oceniali każdą nową wybrankę i byli w stosunku do niej wyjątkowo krytyczni. Jeśli uznali, że jakaś dama nie jest odpowiednia dla ich pana, modlili się, by zmienił obiekt zainteresowań i poszukał kogoś innego.

Lady Maxwell była piękna, nikt nie mógł temu zaprzeczyć. Ale wcześniej, niż markiz się o tym przekonał, służba z Lyn House już wiedziała, że jest także impulsywna, niezrównoważona i czasami wpada w histerię.

— Ona do niego nie pasuje, naprawdę! — powiedział kamerdyner do Barkera i ten przyznał mu rację.

Teraz Barker wziął liścik i położył go w mało widocznym miejscu na stole pod oknem.

— Jeśli o nim zapomni, tym lepiej! A lady będzie musiała się zadowolić orchideami od naszego lorda, a nie cieszyć jego obecnością! — rzekł półgłosem.

Markiz wszedł do małej jadalni wychodzącej na ogród. Śniadanie już było przygotowane. Pokój, w którym jadał rano, był niewielki, ale ślicznie ozdobiony. Nie dokonano w nim żadnych zmian od czasu, gdy znakomity architekt i dekorator, Robert Adam, zaprojektował go w połowie osiemnastego wieku.

Jak wiele innych pomieszczeń w Lyn House pokój doskonale pasował do markiza, który wyglądał bardziej na arystokratę z okresu regencji niż na zwykłego mężczyznę z lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku.

Markiz lubił dobre śniadania, przygotowywane dla niego zawczasu, odkąd uznał, że lepiej jadać je wczesnym rankiem. Cisza panująca w jadalni sprzyjała logicznemu myśleniu. Nie chciał, by nawet najlepszy służący zakłócał mu ten spokój.

Po śniadaniu markiz przeszedł do gabinetu. Jak się spodziewał, Butterworth ułożył na biurku stosik rachunków. Były tu również listy, które markiz wcześniej podyktował, i rozmaite zaproszenia.

Zajął się nimi w pierwszej kolejności. Na tych, które zamierzał przyjąć, pisał dużą literę „Y” („Yes”), a na tych, które odrzucał, dużą literę „N” („No”). Potem złożył podpisy pod listami, przeczytawszy je najpierw uważnie.

W końcu podpisał te rachunki, które musiały być zapłacone od razu.

Jeśli któreś z nich wydawały mu się niejasne, odkładał na bok, by omówić to z Butterworthem.

Wszystko przebiegało sprawnie. Równie dobrze były zorganizowane jego stajnie z końmi wyścigowymi oraz cała posiadłość.

Często słyszał od przyjaciół:

— Nie rozumiem, Lynworth, jak udaje ci się osiągnąć taką perfekcję we wszystkim, co robisz.

Odpowiadał wówczas:

— To kwestia właściwej organizacji.

Chociaż mówił to żartobliwie, wiedział, że tak jest w istocie. Kiedy uporał się z korespondencją, zadzwonił po Butterwortha.

Sekretarz wszedł pospiesznie do pokoju.

— Podpisałem rachunki związane z nowymi inwestycjami w Lyn — oznajmił markiz.

— Chciałbym jednak, abyś przed ich wysłaniem upewnił się, czy wszystko w porządku.

— Już to zrobiłem, lordzie — odparł Butterworth.

— To dobrze! — rzekł markiz. — W takim razie dokonam inspekcji nowych budynków podczas następnej wizyty w Lyn.

Mówiąc to, wyszedł z gabinetu i zobaczył, że powóz czeka już na niego przed wejściem. Ka-



merdyner podał mu w hallu cylinder i rękawiczki.

Powóz był zaprzężony w kilka nowych koni, które markiz kupił przed niespełna miesiącem od przyjaciela gwałtownie potrzebującego pieniędzy. Wiedział, że zwierzęta tworzą doskonały zaprzęg i są w świetnej formie. Przyjaciel niemal płakał, rozstając się z nimi. Zwrócił się wtedy do markiza:

— Skoro muszą być sprzedane, dobrze, że ty je dostaniesz, a nie ktoś inny. Nie będę się martwił, że zabraknie im właściwej opieki.

— Obiecuję ci, Edwardzie, że zadbam o nie — odparł markiz — a gdy twoja sytuacja finansowa się poprawi, obiecuję, że odstąpię ci je z powrotem.

Przyjaciel, który popadł w olbrzymie długi po śmierci ojca, powiedział z emfazą:

— Właśnie czegoś takiego spodziewałem się po tobie! Dziękuję bardzo, stary druhu! Mogę tylko mieć nadzieję, że uda mi się wybrnąć z kłopotów, w jakich się znalazłem w tej chwili.

— Wiesz, że w miarę swoich możliwości zawsze przyjdę ci z pomocą — odpowiedział markiz.

Przyjaciel poklepał go z wdzięcznością po ramieniu.

Teraz, gdy markiz wsiadł do powozu i chwycił lejce, pomyślał, że powożenie zaprzęgiem przyjaciela sprawi mu przyjemność.

Stangret wskoczył do tyłu i wyjechali. Podróż do domu matki w pobliżu Walton nad Tamizą trwała ponad godzinę.

Był to śliczny budynek położony na skraju wioski Bray. Matka zamieszkała tam po śmierci męża. Przyznała, że nigdy nie lubiła Domu dla Wdów w posiadłości Lyn. Wolała także być bliżej Londynu, gdzie częściej mogli odwiedzać ją przyjaciele. To markiz znalazł dla niej ten dom. Wyposażył go we wszystko, co zgromadziła w ciągu całego swego małżeństwa, a wyszła za mąż w wieku lat osiemnastu.

Związek okazał się szczęśliwy, chociaż markiz ojciec był znacznie starszy od żony. Smuciło ich tylko, że mieli jedno dziecko zamiast przynajmniej pół tuzina. Ale ich syn, Vernon, w pełni wynagrodził im ten zawód. Był znakomitym, a przy tym bardzo lubianym uczniem. Świetnie radził sobie jako student Oksfordu. Kiedy wstąpił do Kawalerii Królewskiej, matka uznała, że nie ma lepszego oficera.

Sama królowa Wiktoria, której słabość do przystojnych mężczyzn była powszechnie znana, miała „miękkie serce” dla markiza. Dworzanie na zamku Windsorów szemrali między sobą, że

„upiekłoby mu się nawet morderstwo”, gdyby to od niej zależało. Ktoś inny dawno popadłby w niełaskę.

Starzy służący, którzy wraz z matką markiza przenieśli się tutaj z Lyn Hall, najwyraźniej oczekiwali jego przybycia.

Kiedy markiz zajechał, drzwi wejściowe natchmiast się otworzyły. Czterdziestoparoletni lokaj rozwinął na schodach czerwony dywan.

Leciwy zarządca, który zbliżał się do siedemdziesiątki, prężył się na baczność przy wejściu.

— Witamy, milordzie, witamy! — powiedział. — Co za radość widzieć jego lordowską mość ponownie!

— Miło mi, Dawlish — rzekł markiz. — Jak się czuje lady Lynworth?

— Czekam na pana, milordzie — odparł Dawlish.

Mówiąc to, stary sługa wolno wchodził po schodach. Markiz starał się go nie wyprzedzić. Dawlish lekko się zasapał, zanim dotarli do szczytu schodów. Markiz odczekał, by zarządca mógł pierwszy dotrzeć do drzwi pokoju matki. Wiedział, że służba nie lubi, gdy coś nie przebiega zgodnie z przyjętymi zwyczajami.

Dawlish zapukał do drzwi. Służąca, która najwyraźniej czekała na ten znak, uchyliła je od razu.

— Jego lordowską mość do lady Lynworth  
— zaanonsował Dawlish.

Służąca otworzyła drzwi szerzej, witając wchodzącego mężczyznę dygnięciem. Markiz znalazł się w pięknym pokoju, w którym stało olbrzymie łóżko z baldachimem. Markiza wdowa leżała na obszytych koronkami poduszkach. Jej siwe włosy były elegancko upięte. Twarz nosiła ślady wielkiej urody, która wyróżniała ją spośród królewskich dam dworu.

— Vernon! — krzyknęła, wyciągając ku niemu ręce w geście powitania. — Tak bardzo chciałam cię zobaczyć!

— Przyjechałem, mamó, gdy tylko otrzymałem twój liścik — odpowiedział markiz. Pochylił się i pocałował ją w oba policzki. Potem usiadł na brzegu łóżka, trzymając ją za rękę. Służąca wyszła, zamykając za sobą drzwi, i zostali sami.  
— Powiedz, co cię niepokoi, mamó — szepnął markiz.

— Obawiam się, najdroższy, że lekarze nie mają zbyt pomyślnych wieści.

Zacisnął palce na jej dłoni.

— Czy to coś złego? — dopytywał się.

Wiedział, że matka jest słabego zdrowia i źle się czuje co najmniej od dwóch lat. Ale lekarze zapewniali go, że nie ma szczególnych powodów do obaw. Ich zdaniem powinna jeszcze długo żyć.

— Obawiam się, że to serce — oznajmiła markiza — a ponieważ sir William wydał dokładne dyspozycje, co mi wolno, a czego nie, uznałam, że muszę dać ci znać.

— Oczywiście, że powinienem o tym wiedzieć — przyznał markiz. — A ty, mamó, musisz ściśle przestrzegać jego zaleceń.

Pochylił się i ucałował jej dłonie.

— Wiesz, że bez ciebie nie umiałbym żyć, więc musisz bardzo na siebie uważać, już chociażby z tego względu.

Markiza cicho się zaśmiała.

— Zrobię to, skoro mnie prosisz. A teraz ja proszę, byś zrobił coś dla mnie.

— To znaczy?

Powiedział to trochę gniewnym tonem, bo domyślał się odpowiedzi.

Markiza odparła z pewnym wahaniem:

— Ponieważ, drogi chłopcze... najbardziej na świecie chciałabym... przed śmiercią trzymać w ramionach twego synka... więc zaprosiłam księżniczkę Helgę z Wittenbergi.

Markiz wpatrywał się w matkę, jakby nie wierzył własnym uszom.

— Księżniczkę Helgę? Ale po co?

Markiza po długiej pauzie rzekła nieśmiało:

— Bo myślę, kochanie, że ona byłaby dla ciebie doskonałą żoną.

— Ależ ja nie jestem królewskiej krwi i nie sądzę, by wielki książę mógł widzieć we mnie swego zięcia — odrzekł markiz szorstko. W gruncie rzeczy był zdumiony tym, co mówiła matka.

Chociaż podejrzewał, że będzie go prosić, by znalazł sobie żonę, nigdy nie przypuszczał, iż sama zechce to zaaranżować.

— Wielki książę odwiedził mnie w zeszłym miesiącu, gdy był w Anglii — ciągnęła marki-za. — Rozmawiałam z nim o Heldze, bo może pamiętasz, jest moją chrześniaczką. — Spojrzała na syna, ale on się nie odezwał, mówiła więc dalej: — Wielki książę wspominał, że zawsze interesował się twoimi sprawami i sukcesami na torze wścigowym.

Ponieważ markiz nadal milczał, matka po chwili powiedziała nieśmiało:

— Nie pamiętam już, czy to on zasugerował, czy ja, że ty i Helga stanowilibyście dobraną parę. W każdym razie wczoraj dostałam od niego list, w którym pisze, że omówił tę sprawę prywatnie ze swymi doradcami politycznymi.

Markiz drgnął, ale się nie odezwał. Matka kontynuowała:

— Wszyscy zgodzili się co do tego, że nie ma powodów, dla których księżniczka musiałaby poślubić osobę królewskiej krwi. Przecież już trzeci z synów wielkiego księcia stworzył precedens,

żeniąc się z hiszpańską arystokratką, niepocho-  
dzącą z rodziny królewskiej.

Gdyby matka rzuciła w niego bombą, mar-  
kiz nie byłby bardziej zdumiony, a właściwie  
bardziej przerażony. Znał wielkiego księcia Fry-  
deryka z Wittenbergi i uważał go za miłego, ale  
niezbyt mądrego człowieka. Pamiętał swoją wi-  
zytę w Wittenberdze przed trzema laty. Wśród  
licznych synów wielkiego księcia była jakaś ro-  
sła, ale dość pospolita dziewczyna. Nie zwrócił  
wówczas na nią szczególnej uwagi.

Nawet przez myśl mu nie przeszło, że mat-  
ka może próbować go wyswatać, skoro osiągnął  
już pewien wiek. Tak często odrzucał jakiegol-  
wiek wzmianki o małżeństwie. A skoro chodziło  
o księżniczkę Helgę z Wittenbergi, sprawa przed-  
stawiała się tym gorzej. Świetnie znał sztywny  
protokół obowiązujący w tym małym niemiec-  
kim księstewku. Rodzina wielkiego księcia mia-  
ła zakaz wykonywania rozmaitych zajęć, które  
były dozwolone w angielskiej rodzinie królew-  
skiej.

Dwa dni, jakie markiz spędził w pałacu wiel-  
kiego księcia, znudziły go śmiertelnie. Nie mógł  
sobie wyobrazić nic gorszego niż konieczność  
dłuższego przebywania w pałacu, w którym  
wszyscy z namaszczeniem w ciszy wsłuchiwali  
się w słowa wielkiego księcia.

Markiz wziął głęboki oddech i już miał powiedzieć, że nic nie zmusi go do ślubu z księżniczką Helgą, gdy matka odezwała się drżącym głosem:

— Byłabym taka... szczęśliwa, kochanie, gdybyś... się ustatkował... i miał dziedzica. Jesteś już... po trzydziestce... a sir William mówi, że muszę bardzo uważać na siebie, jeśli mam... doczekać się... wnuków.

Markiz z trudem powstrzymał słowa cisnące mu się na usta. Zmuszając się do opanowania, powiedział:

— To oczywiście dla mnie szok, mamó, ale mam nadzieję, że będę miał okazję spotkać się z księżniczką, zanim zostanie formalnie postanowione, że powinienem się z nią ożenić.

— Oczywiście, oczywiście! — przytaknęła pośpiesznie markiza. — Właśnie dlatego zaprosiłam ją tu wraz z matką. Będzie też uczestniczyć w przyjęciach w Londynie. Jeśli ją zaprosisz, może zamieszkać u ciebie w Lyn House.

Markiz zdawał sobie sprawę, że to oznaczałoby prawdziwe przypieczętowanie ich ślubnego kontraktu.

— Sądzę, mamó, że byłby to błąd... — zaczął.

Markiza wydała cichy okrzyk.



— Ależ proszę, kochany Vernonie, nie utrudniaj! Włożyłam całe serce w wasze spotkanie z Helgą i wiem, że się w niej zakochasz. Będiesz miał wspaniały ślub, a ja się postaram być już wtedy na nogach. Jeśli miałabym umrzeć, umrę szczęśliwa!

Markiz wiedział, że nie może spierać się z matką w tej chwili, gdy wygląda tak mizernie. To znaczyło dla niej tak wiele, miała łzy w oczach.

Raz jeszcze, siląc się na spokój, zapytał:

— A kiedy ma dojść do tej wizyty?

— Wielki ksiązę napisał, że księżniczka Helga z matką przyjadą za dziesięć dni. Najpierw zatrzymają się u mnie, a potem poproszę wszystkich naszych przyjaciół, by gościli je w Londynie. Potem przeniosą się do Lyn House.

Markiz zagryzł wargi, ale powiedział tylko:

— Wygląda na to, że wszystko zaplanowałaś, mamo!

Markiza uśmiechnęła się.

— Twój ojciec zawsze twierdził, że to po mnie odziedziczyłeś talent organizacyjny. Naprawdę jestem z siebie dumna, że znalazłam ci godną żonę, odpowiednią do pozycji, jaką zajmie u twego boku.

Markiz wstał i podszedł do okna. Spoglądał na ogród, który za chwilę miał się pograć

w ciemnościach. Matka wznosiła wokół niego więzienny mur. Wyglądało na to, że nie zdoła się wymknąć, nie wywołując skandalu. Znieważenie kogoś królewskiej krwi ściągnęłoby na niego gniew królowej Wiktorii. Nie pozostawiało mu nic innego jak oświadczyć się księżniczce Heldze niemal zaraz po jej przyjeździe. Nie odwracając się, rzekł:

— Zrozumiałem z tego, co mi przekazałaś, że sprawa została omówiona między tobą i wielkim księciem, ale skoro on zasięgnął rady swych polityków, dotarło to już do wiadomości publicznej w Wittenberdze.

— Nie, oczywiście, że nie — zaprzeczyła markiza. — Wielki książę napisał mi w liście i zapewnił przed wyjazdem, że przedyskutował tę kwestię ze swym gabinetem jedynie w ogólnych zarysach.

Markiz nadal stał bez ruchu, a matka mówiła:

— Jestem pewna, że nie wymienił żadnego nazwiska. Zapytał tylko, czy uważają za możliwe, by — skoro jej brat ożenił się ze zwykłą dziewczyną — księżniczka Helga poślubiła angielskiego arystokratę z rodu, który stoi jedynie o szczebel niżej od rodziny królewskiej.

Markiz pomyślał, że taka wersja rozwoju wypadków to jedynie przypuszczenia jego matki, a sprawa wygląda zupełnie inaczej. Jednak nie był

tego pewny. Spoglądał niewidzącym wzrokiem za okno i myślał, że znalazł się w pułapce. Nikt prócz matki nie potrafiłby zrobić tego tak zręcznie.

— Domyśliłam się, że możesz być zirytowany moją interwencją, najdroższy — odezwała się markiza po dłuższym milczeniu — ale nie dopuszczam do siebie myśli, by ktoś spoza królewskiego rodu był dość dobry dla ciebie, a wiem, że twój ojciec czułby to samo.

— Osobiście nie zadzierałem nigdy nosa tak wysoko — odparł ostro markiz. Przestraszył się, że mógł urazić matkę, więc odwrócił się ku niej. — Jestem pewien, że zrobiłaś, co uważałaś za najlepsze — dodał — ale to spadło tak nagle. Wiesz przecież, że nie chcę się w ogóle żenić!

— Wiem, kochanie — rzekła markiza — ale lady Maxwell wyrządziła takie szkody twojej reputacji, że to bardzo mnie martwi.

— Szkody? Co masz na myśli? — spytał markiz.

— Och, kochanie, ona tak otwarcie mówi o tobie! Ciotka powiedziała mi, że wszystkim powtarza, jak beznadziejnie i jak bardzo jest w tobie zakochana.

Głos markizy zabrzmiał teraz ostrzej:

— Żadna wrażliwa i dobrze urodzona osoba nie rozpowiadałaby takich rzeczy, a ja nie mogę tego znieść, bo chodzi o ciebie. — Wyciągnę-

ła ku niemu rękę i dodała: — Nie chcę, by cię skrzywdziła ta męcząca, niedyskretna kobieta. Kiedy byłam młodą dziewczyną, rozprawianie o czyichś romansach uważano za rzecz w bardzo złym stylu.

— I nadal tak jest! — stwierdził markiz.

Mówiąc to, doszedł ostatecznie do wniosku, że związek z lady Maxwell był ewidentną pomyłką. Myślał o tym zeszłej nocy. Teraz zrozumiał, że powinien porzucić ją już dawno, gdy tylko zaczęła publicznie się nim afiszować. Jednak markiz zbyt przyzwyczał się do wyrazu uwielbienia w oczach kobiet. W dodatku był rzeczywiście oczarowany urodą lady Maxwell i oczekiwał, że będzie się zachowywać w sposób odpowiadający jej pozycji towarzyskiej. Powinien był porzucić ją natychmiast, gdy jej zachowanie zaczęło odbiegać od tego, co powszechnie uznawano za „właściwe”.

Kiedy jednak robił jej wymówki, trudno mu było oprzeć się prawdziwej namiętności, jaką mu okazywała.

— Kocham cię, kocham cię, Vernonie! — powtarzała co chwila. — Jak to możliwe, że jesteś taki cudowny, mądry, wspaniały, będąc jednocześnie ludzką istotą?

Mówiła z wielkim uczuciem i nie wątpił w jej szczerść. Wyglądała przy tym prześlicz-

nie. Zamiast więc nakazać jej większą dyskrecję, zaczynał ją całować.

A teraz, gdy najmniej się tego spodziewał, postępowanie lady Maxwell skłoniło jego matkę do podjęcia pośpiesznych działań.

— Widzisz, kochanie — mówiła miękkim głosem markiza — odkąd dorosteś, miałeś wielkie powodzenie u kobiet, ale nigdy nie doszło do prawdziwego skandalu, jaki może wywołać lady Maxwell.

— Co za nonsens! — zaprotestował markiz.

— To nieuniknione, jeśli będzie o tym rozpowiadać — upierała się matka. — Ciotka sądzi, że jest tylko kwestią czasu, kiedy o wszystkim dowie się królowa Wiktorja. Jej królewska mość będzie bardzo zmartwiona, biorąc pod uwagę to, że lord Maxwell zajmuje bardzo wysokie stanowisko na dworze.

Markiz nie mógł się z tym nie zgodzić. Ponownie przeklął się w duchu, że pozwolił sprawom zajść tak daleko. Zastanawiał się, czy gdyby obiecał natychmiast zerwać z lady Maxwell, matka porzuciłaby pomysł zaręczenia go z księżniczką Helgą.

Wiedział jednak, że tylko by ją tym zmartwił. Skoro zapraszała księżniczkę do siebie, trudno by jej było napisać, że zmieniła plany.

Jakby czytając w jego myślach, markiza powiedziała:

— Zobaczysz, kochany synku, wszystko się dobrze ułoży. Chcę, byś poślubił kogoś równego nam pochodzeniem, kto będzie umiał z wdziękiem grać rolę kasztelanowej Lyn, którą byłam przez wiele lat.

— Oczywiście świetnie się z niej wywiązywałaś, mamó — odparł odruchowo markiz.

— Twój ojciec był ze mnie bardzo dumny, a ja nie wywołałabym skandalu, który zdenerwowałby go tak jak lot na księżyc!

— Nie, oczywiście, że nie! — przytaknął markiz. — Byłaś doskonałą żoną, tak jak zawsze byłaś dla mnie wspianą matką.

— Och, kochanie, chciałam, żebyś to właśnie powiedział! — wykrzyknęła markiza. — Kiedy byłeś małym chłopcem, zwykłam być mawiać, że „mamusia wie najlepiej”. Musisz uwierzyć mi, że teraz też najlepiej orientuję się, co jest najbardziej wskazane.

Markiz nie od razu odpowiedział. Podeszedł do łóżka i usiadł na brzegu, tam gdzie poprzednio.

— Z całą pewnością poddałaś mi temat do przemyśleń, mamó — przyznał. — Chcę, żebyś teraz zatroszczyła się o siebie. Musisz robić dokładnie to, co zaleca sir William, a ja poproszę

go, by po każdej wizycie u ciebie zdawał mi relację. Będę bardzo niezadowolony, jeśli się okaże, że za dużo pracujesz i niepotrzebnie się męczysz.

— Nie będę — zapewniła markiza — bo chcę być na tyle zdrowa, by móc wstać z łóżka i zająć się księżniczką. Musisz mi obiecać, że zrezygnujesz wtedy z wszelkich zobowiązań towarzyskich. — Zrobiła krótką pauzę i dodała: — Kiedy księżniczka zamieszka u ciebie, będziesz musiał poprosić wszystkich znajomych, by byli tak mili i zechcieli się z nią spotkać.

Markiz nie odpowiedział. Przyszło mu właśnie do głowy, że większość jego przyjaciół uzna Wittenbergów za takich nudziarzy, za jakich sam ich uważał.

Ucałował matkę.

— Jestem pewien, że kazałaś przygotować dla mnie lunch na dole — powiedział. — Wyjdę jeszcze do ogrodu i sprawdzę, czy ogrodnicy zaopatrują cię w wystarczającą ilość owoców i warzyw.

— Wszyscy się za tobą stęsknili, kochanie — odparła matka. — Nie zapomnij zajść do kuchni, by powitać panią Wiggins. Byłaby bardzo rozczarowana i zmartwiona, gdybyś wyjechał, nie spotkawszy się z nią.

— Pamiętam o pani Wiggins — rzekł markiz z uśmiechem. — Zawsze robiła dla mnie

te wspaniałe ciasteczka ponczowe, gdy byłem mały.

Markiza roześmiała się.

— Pewnie dostaniesz je podczas lunchu. Pani Wiggins nigdy nie zapomina o twoich ulubionych potrawach.

Markiz raz jeszcze ucałował matkę i skierował się do drzwi. Zszedł na dół i udał się do ogrodu. Przechadzał się po trawnikach chylących się ku rzece.

Myślał o tym, że nawet najgorszy wróg nie poraziłby go bardziej przerażającą nowiną niż ta, którą usłyszał od własnej matki. Stał, patrząc w dół na rzekę. Kaczki, dokarmiane przez markizę, podplły ku niemu, oczekując poczęstunku. Ale on nie dostrzegął niczego poza perspektywą długich nudnych lat, jakie miał przed sobą. Pamiętał nieciekawe rozmowy, którym przysłuchiwał się podczas swej wizyty w Wittenberdze. Potem przypomniał sobie bladą twarz księżniczki, gdy była jeszcze dzieckiem. Zastanawiał się, czy wyładniała z wiekiem, ale miał co do tego poważne wątpliwości. A nawet jeśli wyprzystojniała, była niewielka szansa, by inteligencją przewyższała rodziców.

— Nie mogę tego zrobić! Nie mogę! — powiedział markiz głośno.



W drodze powrotnej do Londynu markiz przypomniał sobie, że musi rozwiązać sprawę lady Maxwell. Wystarczająco dokuczliwa była myśl, że zostało mu zaledwie dziesięć dni swobody, by potem tracić godziny, a może nawet dni na spędzaniu ich z lady Maxwell. Będą płacze i prośby, żeby jej nie porzucił. Z dotychczasowego doświadczenia wiedział, że nie obejdzie się bez łez, zarzutów i ustawicznych narzekań:

— Co ja takiego zrobiłam? Dlaczego już mnie nie kochasz? Dlaczego? Dlaczego?

Słyszał to już setki razy. Wszystko się w nim buntowało przeciwko wiktaniu się w podobnie bolesną, burzliwą i poniżającą scenę.

Dopiero gdy dotarł do domu, znalazł rozwiązanie. Poszedł prosto do swego gabinetu. Pomyślał, że mogą tam czekać na niego jakieś pilne wiadomości, a przecież nie było go cały dzień. Nie mylił się. Stosik zapisków leżał na biurku. Zobaczył, że na pierwszym jest adnotacja „Bardzo pilne”. Wiedział, że to list od Joan Maxwell.

Było to jak dotknięcie bolesnego miejsca, odwrócił się więc od biurka do kominka.

Na niskim stoliczku przed kominkiem leżały porządnie ułożone gazety. Odruchowo sięgnął po „The Morning Post”, bo zdał sobie sprawę, że nie czytał jeszcze prasy. Zaczął przeglądać gazetę, nie bardzo interesując się treścią artykułów.

Chciał tylko zapomnieć o liściku leżącym na biurku oraz o słowach matki, stale dzwoniących mu w uszach.

Rzucił okiem na rubrykę „Z zagranicy”:

*We czwartek otwarcie hotelu „Ritz” w Paryżu. Zgromadzenie wyższych sfer przy placu Vendôme. Cesar Ritz największym hotelarzem w Europie.*

Markiz przeczytał nagłówki. Potem jakby coś nagle wpadło mu do głowy. Pojadę jutro rano do Paryża! — postanowił.

### 3

Przez większą część podróży do Paryża markiz martwił się, myśląc o przyszłości. Próbował również zaplanować, jak się zabawi po przyjeździe. Nie mógł jednak przewyciężyć przygnębienia.

Bywał w Paryżu wiele razy, po raz pierwszy tuż po skończeniu Oksfordu. Wraz z przyjacielem poznawał wtedy uciechy najweselszego miasta świata. Paryż zawsze kojarzył mu się z „przyjemnościami życia”, których nie zaznał w Anglii.

Pociąg nabierał prędkości, oddalając się od Calais. Im było bliżej Paryża, tym częściej markiz zastanawiał się, którą z licznych kurtyzan, znanych mu dawniej, mógłby teraz odszukać. Na całym świecie bowiem nie było kobiet tak wyrafinowanych i zabawnych jak paryskie kokoty.

Owszem, wyciągały wszystkie pieniądze z męskich kieszeni, ale markiz tak bardzo lubił ich towarzystwo, że w ogóle nie zwracał uwagi na wydatki. A spotykał się ze znaczną liczbą tych pań. Każda z nich miała jakieś sobie tylko właściwe zalety.

W końcu markiz postanowił, że zda się na los i zobaczy, kogo zastanie w „Maximie”. Była to restauracja, do której schodzili się wszyscy mężczyźni pragnący użyć paryskich uciech.

Butterworth wysłał zawczasu telegram do hotelu „Ritz”, zapowiadający przyjazd markiza. Lynworth nie był więc zaskoczony, że gdy dotarł w końcu na plac Vendôme, sam Cesar Ritz oczekiwał, by go powitać.

— To dla mnie wielki zaszczyt, milordzie — powiedział. — Moje wieczorne przyjęcie nie byłoby udane bez pana.

Markiz uścisnął mu dłoń i życzył powodzenia. Nie zależało mu jednak szczególnie, by wziąć udział w uroczystym otwarciu hotelu. Wiedział, że spotkałby tam swych francuskich i angielskich przyjaciół, którzy chcieliby go później gdzieś wyciągnąć.

Cesar Ritz zaprowadził go na górę do zarezerwowanego apartamentu. Zanim wyszedł, markiz oznajmił mu, że był już wcześniej umówiony na ten wieczór.

— Bardzo mi przykro, milordzie — odparł Ritz. — Jestem oblegany przez ludzi, którzy chcieliby skorzystać z zaproszenia, ale trzymałem specjalne miejsce dla pana.

— Chciałbym podziwiać pański wspaniały hotel bez konieczności prowadzenia rozmów z ludźmi, których widuję zbyt często w Anglii, a zbyt rzadko we Francji.

Cesar Ritz roześmiał się.

— Rozumiem, milordzie. Jutro będzie się pan mógł rozkoszować najlepszym obiadem, jaki jadł pan w życiu i jaki moi kucharze kiedykolwiek przygotowali.

Markiz wykapał się w łazience, do której wchodziło się wprost z sypialni. Podobały mu się złote instalacje, lustra i obfitość przyborów toaletowych, w jakie wyposażono to pomieszczenie.

Gdy zszedł na dół, goście już się zbierali. Markiz nie chciał spotkać ani księstwa Marlborough, ani Portlandów, a wiedział z gazet, że zatrzymali się w tym hotelu. Nie miał także ochoty na spotkanie z księżną de Morny, która była co prawda bardzo ładna, ale przyjechała tu z mężem. To samo odnosiło się do dawnej znajomej, księżnej de Rohan.

Wobec tego poszedł na kolację do „Maxima”. Jak zwykle w lokalu pełno było mężczyzn, któ-

rzy tak jak on szukali rozrywki, i wiele najbardziej znanych, a zarazem najdroższych paryskich kokot.

Markiz zajął się jedną z nich, bardzo atrakcyjną. Wprawdzie zbyt chętnie wykorzystywała wszystkie swoje sztuczki, by sprawić mu przyjemność, ale na pewno była wyjątkowo pociągająca.

W każdym razie gdy o świcie wracał do „Ritza”, uświadomił sobie, że dzięki niej kilka godzin nie myślał o przyszłości.

Obudził go Barker i opowiedział o wielkim sukcesie, jakim była wieczorna feta. Lokaj mówił o niej z przejęciem. Markiz poczuł rozbawienie, gdy zorientował się, że Barker żałuje, że jego pana ominęła taka uczta.

Lynworth ubierał się powoli. Postanowił, że pojedzie na przejażdżkę do parku Bois.

Zanim wyszedł nad ranem od Lisette, dała mu do zrozumienia, że byłoby jej miło, gdyby przyjechał po nią w południe. Wobec tego podjechał pod jej elegancki dom, usytuowany w cichej uliczce niedaleko Łuku Triumfalnego.

Służąca w plisowanym fartuszk wpuściła go do środka i oświadczyła, że madame czeka w sypialni. Markiz wszedł po schodach, którymi zbiegał na dół zaledwie kilka godzin temu.

Zastał Lisette malującą rzęsy przed lustrem.

— *Bonjour, mon brave!* — zawołała. — Czy dziś czujesz się szczęśliwy?

— Naprawdę uszczęśliwiłaś mnie tej nocy — przyznał markiz. — Myślałem, że chciałaś, byśmy pojechali do Bois.

— Oczywiście, z największą ochotą. Czy ktoś prócz mnie będzie miał tak przystojnego i wytwornego towarzysza?

Podąła markizowi dłoń, on zaś ją ucałował. Jednocześnie pomyślał, że w sypialni jest dość duszno, a perfumy Lisette są zbyt mocne.

— Poczekam na dole — rzekł.

— Ależ oczywiście, w salonie jest szampan — odparła.

Jakie to typowe — markiz uśmiechnął się do swych myśli — że każda francuska kokota ma zawsze w srebrnym wiaderku z lodem przygotowanego szampana. Ten był w najlepszym gatunku; czekały też na niego małe kanapki. Jednak po wspaniałym śniadaniu w hotelu „Ritz” nie odczuwał łaknienia.

Rozejrzył się wokół. Na stole i na kominku stały wielkie bukiety kwiatów, a otwarte okna, przez które napływało świeże powietrze, dopełniały miłego obrazu.

Wiedział, że gdy zjawi się Lisette, będzie ślicznie ubrana, przyozdobiona kosztowną biżuterią. Będzie też uszmkowana i upudrowana.

Zaden mężczyzna nie mógłby jej zobaczyć, gdyby nie była w pełnym rynsztunku.

Markiz pomyślał, że tego właśnie nie rozumieją żony. Przypomniał sobie także, jak brzydka była jego sypialnia w pałacu w Wittenberdze. Zresztą meble we wszystkich tamtejszych pokojach były ponure, ciężkie, niemal obskurne. Zasłony miały frędzle i falbany, kanapy pokrywał aksamit lub inny gruby materiał.

Nagle przeraził się na myśl, że jakaś kobieta, która będzie nosiła jego nazwisko, zechce zmienić wyposażenie posiadłości w Lyn. A nie wątpił, że obecne jest znakomite. Wiedział, że nawet księżę Walii zazdrościł mu wygody i elegancji jego siedziby. Pokoje były umeblowane z doskonałym smakiem, wylansowanym w czasach regencji późniejszego króla Jerzego IV.

Markiz zaś był przeświadczony, że księżniczce Heldze odpowiadałaby wiktoriańska moda na przykrywanie mebli pokrowcami. Tak jak wszelkiego rodzaju frędzle i falbanki stanowiło to dla niego synonim brzydoty. Może też, jak królowa Wiktoria, zechce umieścić wszędzie setki swych rodzinnych fotografii. Może nawet zażąda ustawienia dracen, a on przysiągł sobie, że nie będzie ich miał w żadnym ze swych domów.

Ponieważ każda myśl o księżniczce Heldze wyprowadzała go z równowagi, ucieszył się, gdy



po kilku minutach przyszła Lisette. Uznał, że wygląda nadzwyczaj szykownie. Miała mocno dopasowaną suknię, która podkreślała szczupłość jej talii i kształt pełnych piersi. Jednocześnie nie można było mieć wątpliwości co do jej profesji. Ale markiz w tej chwili unikał wszystkiego, co można by uznać za „dystygowane”.

Lisette podeszła ku niemu. Okręciła się wokół tak, że jej spódnica zawirowała, ukazując wykończone koronkami halki.

— Jak wyglądam? — spytała tym czarującym i pieszczotliwym tonem, któremu żaden mężczyzna nie umiał się oprzeć. — Czy ci się podobam?

— Bardzo — odpowiedział markiz. — A teraz pozwól, że pokażę cię tym wszystkim mężczyznom w parku Bois, którzy będą mi zażdrościć twego towarzystwa.

— Natomiast kobiety zechcą wydrapać mi oczy, bo będę obok ciebie! — zaśmiała się Lisette.

Rzuciła w jego kierunku prowokujące spojrzenie spod długich rzęs. Markiz uśmiechał się, gdy schodzili ze schodów. Pomógł jej wsiąść do powozu wynajętego z przedsiębiorstwa, z którego usług korzystał zawsze, ilekroć był w Paryżu. Mieli tam najmodniejsze pojazdy i najlepiej utrzymane konie. Markiz wiedział, że nigdy nie

dostarczyliby mu niczego, co byłoby w poślednim gatunku.

Konie, którymi powoził, stanowiły wyjątkowo ładną parę. Powóz, podobnie jak jeden z jego pasażerów, był nieco zbyt jaskrawy, ale to odpowiadało nastrojowi markiza. Świeciło słońce.

W parku Bois było wielu dżentelmenów jeżdżących konno oraz mnóstwo karoc, w których siedziały najsłynniejsze paryskie kokoty.

Każda z nich miała własny sposób na zwrócenie na siebie uwagi. Było to przyjęte jedynie we Francji, a i tu niespotykane w żadnym innym mieście.

Jedna z kokot prezentowała się cała na biało: miała białe konie, białą karocę i biały strój. Jedyne wyjątki stanowili dwaj służący — woźnica i jadący z tyłu pachołek, którzy pochodzili z czarnej Afryki.

Inna, równie sławna kurtyzana miała dwa wielkie pudle, z sierścią ufarbowaną na niebiesko; obroże wysadzone były prawdziwymi kamieniami. Psy siadywały naprzeciw niej, tyłem do kierunku jazdy. Ona sama nosiła kapelusz z mnóstwem piór i ozdobnych szpilek. Natomiast sznur pereł, o którym krążyły słuchy, że był prezentem od króla, sięgał jej aż do kolan. Zawsze odbywała przejażdżki samotnie, jedynie w towarzystwie psów. Nigdy nie zapraszała żadnego mężczyzny na wspólny spacer w Bois.

Niektóre słynne kurtyzany markiz znał od dawna. Pojawiły się także nowe, na które zwróciła mu uwagę Lisette. O każdej z nich mówiła coś dowcipnego, chociaż trochę złośliwie.

Kiedy zatrzymali się na lunch, markiz zdał sobie sprawę, że śmiał się niemal przez całe przedpołudnie. Jeszcze raz zapomniał o przyszłości. Po lunchu wrócili do domu Lisette i kochali się aż do jego powrotu do „Ritza”.

— Czy zjesz dziś ze mną kolację, Lisette?  
— spytał markiz, ubierając się. Stał przed jej misternym lustrem oprawionym w złote ramy i zwieńczonym kupidynami.

— Cóż, *mon cher*, chociaż bardzo bym tego chciała, umówiłam się na przyjęcie już dawno temu. Oczywiście będzie mi bardzo miło, jeśli pójdziesz tam ze mną.

Markiz pokręcił głową.

— Nie zależy mi teraz na przyjęciach w Paryżu, więc jeśli nie możesz iść ze mną na kolację, wolę pójść sam.

— Jeśli rzeczywiście będziesz sam — zauważyła Lisette. — Zazdrość mnie ogarnia na myśl, że łatwo mnie zastąpisz kimś innym.

— To zupełnie niemożliwe — odparł markiz z galanterią.

Jednak wychodząc z domu Lisette, pomyślał, że wszystko dobre, ale w miarę. Lisette była jed-

ną z najatrakcyjniejszych kurtyzan. Niedobrze jest nakładać sobie zbyt duże porcje nawet najlepszej potrawy.

Zjem kolację samotnie — postanowił — i będę się delectował jedzeniem. Z pewnością pojawiły się w Paryżu jakieś nowe potrawy, których będzie się musiał nauczyć mój szef kuchni w Lyn.

Oddał lejce woźnicy i poszedł pieszo do hotelu „Ritz”. Recepcjonista powitał go ukłonem. Wolno podszedł do krętych schodów. Zauważył, że goście jeszcze wychodzą z sali restauracyjnej. Inni, elegancko ubrani, przechodzili do saloniku na popołudniową herbatę.

On jednak nie miał ochoty spotkać kogokolwiek ze znajomych. Z pewnością zaczęliby dowiekać, dlaczego znalazł się w Paryżu u szczytu londyńskiego sezonu towarzyskiego.

Przyspieszył kroku na tyle, by nie zwracało to uwagi. Potem spokojnie podążył długim korytarzem do swego apartamentu. Kiedy już prawie dochodził do drzwi, usłyszał kobiecy głos wołający po angielsku:

— Ratunku! Niech mi ktoś pomoże! Błagam, pomocy!

Okrzyk brzmiał bez wątpienia autentycznie, więc markiz przystanął. Spojrzał przez uchylone drzwi do pokoju, z którego dobiegał głos.

Ku swemu zdumieniu ujrzał hrabiego Gastona de Foreta. Był to jego odwieczny wróg, toteż markiz ucieszył się z okazji wyratowania kogoś z jego szponów. W gruncie rzeczy już kilkakrotnie wszedł w drogę hrabiemu. Obaj zapałali do siebie żywiołową niechęcią od pierwszej chwili, gdy zostali sobie przedstawieni.

Podczas poprzedniego pobytu w Paryżu markiz sprzątnął hrabiemu sprzed nosa pewną bardzo atrakcyjną aktoreczkę. Yvonne zaczynała właśnie odnosić sukcesy w „Folies Bergeres”. Chociaż występowała już na prowincji, po raz pierwszy zaistniała na scenie w Paryżu. Znalazło się wielu mężczyzn, którzy chcieli być jej protektorami. Jednak z właściwym Francuzkom zdrowym rozsądkiem Yvonne nie spieszyła się zbyt z decyzją, którego wybrać.

Hrabia de Foret był najbardziej wpływowym i najbogatszym z jej wielbicieli. Pozwoliła mu kilka razy zaprosić się na kolację, ale nie uległa w pełni jego zabiegom. zaproponował jej wynajęcie apartamentu w dzielnicy o wiele lepszej niż ta, w której wówczas mieszkała. Jednak w dalszym ciągu nie kapitulowała.

Kiedy na horyzoncie pojawił się markiz, hrabia natychmiast popadł w niełaszkę, co go rozwścieczyło. Wściekł się na markiza, któremu aktoreczka rzuciła się wprost w ramiona.

Markiz bawił się tą sytuacją i spędził w Paryżu cały miesiąc, chociaż pierwotnie planował tylko kilkudniowy pobyt. Uznał to za świetną rozrywkę.

Kiedy wyjeżdżał, Yvonne wbrew wszelkim regułom rozpłakała się i przytuliła do niego, mówiąc:

— Jak mogę pozwolić ci odejść? Nic już nie będzie takie samo, kiedy cię tu zabraknie.

— Wiesz, że muszę wrócić do kraju, gdzie mam bardzo wiele spraw na głowie — wyjaśnił markiz — ale nigdy nie zapomnę tego uroczego miesiąca z tobą.

— I ja o tobie nie zapomnę! — zaszlochała Yvonne.

Kiedy markiz wracał do Anglii, myślał o swej atrakcyjnej protegowanej. Jednak jakaś część umysłu podpowiadała mu, że już była pora wracać do swych obowiązków i do swych koni. Czekali też na niego londyńscy przyjaciele, ludzie liczący się w polityce, sztuce i sporcie. Chodziło również o kobiety — zawsze były jakieś kobiety w jego życiu. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że tęskni za rozmową z sekretarzem stanu do spraw stosunków międzynarodowych i za wielogodzinnymi dyskusjami na temat koni z członkami Dżokejklubu.

„Wszystko dobre, ale w miarę” — mówił to sobie w życiu nieskończenie wiele razy.

Zaledwie w kilka dni po powrocie Paryż należał do zamierzchłej przeszłości. To, co odgrywało istotną rolę i było godne zainteresowania, odnosiło się do dnia dzisiejszego w Anglii.

Jednak gdy teraz zobaczył rozzłoszczoną twarz hrabiego, natychmiast przypomniała mu się Yvonne. Rozumiał, że Francuz musiał być wówczas bardzo zawiedziony. Nie zdziwił się, widząc, że Gaston de Foret narzuca się obecnie jakiejś bardzo ładnej, a nawet ślicznej dziewczynie. Owa młoda kobieta stała na drabinie. Podczas gdy on wymienił kilka zdań z hrabią, ześliznęła się z niej z podziwu godną szybkością i rzuciła w stronę drzwi.

Gdy ją wyprowadził z pokoju, uświadomił sobie, że dziewczyna drży ze strachu i jest bardzo młoda. Zauważyła po chwili, że zapomniała zabrać kapelusz. Markiz pomyślał z zadowoleniem, że dzięki temu będzie miał jeszcze jedną okazję powiedzieć hrabiemu, co o nim myśli. Nigdy go nie lubił. Potrafił zrozumieć, że mógł on przestraszyć młodą Angielkę, nieprzyzwyczajoną do tego rodzaju komplementów, jakie zwykł prawić hrabia. Kiedy zamknął Vilmę w swoim saloniku, wrócił do pokoju hrabiego.

De Foret stał w tym samym miejscu, w którym go zostawili, najwyraźniej nadal rozwście-

czony. Gdy markiz przyszedł, hrabia zapytał po francusku:

— Na Boga, czego znowu pan chce?

— Nic wielkiego, tylko kapelusz tej pani. Położyła go na krzesło — odparł markiz.

Hrabia rozejrzał się wokół, dostrzegł kapelusz Vilmy i powiedział ostrym tonem:

— Niczego pan stąd nie zabierze! Jeśli ta młoda kobieta chce odzyskać swoją własność, może przyjść po nią sama!

— A pan naprawdę sądzi, że powstrzyma mnie, skoro postanowiłem jej pomóc?

To mówiąc, markiz podszedł do krzesła i wziął kapelusz. Zauważył, że hrabia zacisnął pięści.

— Sądzę, że jako bokser nie zdziała pan wiele — rzekł chłodno.

A ponieważ markiz był wyższy i potężniejszy, to samo pomyślał właśnie hrabia. Wzruszył ramionami, odwrócił się i podszedł do okna.

— Wynoś się, Lynworth! — krzyknął. — I trzymaj się ode mnie z daleka! Zawsze miałem nadzieję, że nie zobaczę cię więcej.

— Podzielałam te uczucia — odparował markiz — i radzę, żebyś się trzymał z daleka od młodych Angielek, które nie rozumieją zboczonych gustów cudzoziemców takich jak ty!



Pogardliwy ton, jakim to mówił, tak wypro-  
wadził hrabiego z równowagi, że nie mógł wy-  
dobyć słowa.

Markiz śmiał się pod nosem, idąc korytarzem  
z kapeluszem Vilmy. Kiedy wszedł do saloniku,  
zobaczył, że dziewczyna leży na fotelu, i zdał sobie  
sprawę, że jest w stanie szoku. Była bardzo blada.  
Szybko usiadła, jakby nadal się czegoś bała.

— Wszystko w porządku — uspokoił ją mar-  
kiz. — Pani wielbiciel chciał zatrzymać kapelusz  
na pamiątkę, ale udało mi się go odebrać.

— Dziękuję panu — zdołała wydusić z siebie  
Vilma.

Chciała się podnieść z fotela, ale markiz po-  
wstrzymał ją ruchem ręki.

— Radzę, żeby pani odpoczęła kilka minut,  
bo inaczej mogłaby pani wpaść na hrabiego, któ-  
ry zachowuje się jak rozdrażniony tygrys pozba-  
wiony zdobyczy!

Próbował żartować, by rozbawić Vilnę. Ale  
ona załamała ręce i wyglądała na przestraszoną.

— Powiem pani, co zamierzam zrobić —  
ciągnął dalej. — Widzę tu butelkę szampana  
z pozdrowieniami od Cesara Ritza. Nie jest  
schłodzony jak należy, ale wypijemy po kielisz-  
ku i z pewnością dobrze to pani zrobi.

Nie czekał na odpowiedź Vilny. Otworzył  
szampana i nalał do dwóch kieliszków stojących

na stole obok patery z owocami. Następnie podniósł jeden z kieliszków i podał Vilmie.

— Nie sądzę... chyba nie powinnam tego pić — zaczęła z wahaniem.

— Nonsens! — przerwał jej markiz. — Jest pani w Paryżu, gdzie pije się szampana o każdej porze dnia i nocy, a zwłaszcza gdy ma się zły humor!

Vilma parsknęła cichym śmiechem.

— Wygląda na to, że zachowam się bardzo po francusku, pijąc go o tej porze, gdy powinno się pić... popołudniową herbatę.

— Ale nie w Paryżu! — rzekł markiz.

— Wiem... i dziękuję panu. To głupie, że się tak wystraszyłam.

— W gruncie rzeczy całkiem zrozumiałe — odpowiedział markiz. — Proszę mi uwierzyć, że hrabia Gaston de Foret jest osobą, której powinna pani unikać, gdziekolwiek się pani z nim zetknie.

Przysunął sobie krzesło bliżej niej i spytał:

— Czy pani, z jej prezencją, jest naprawdę specjalistką w dziedzinie elektryczności?

— Znam się trochę na tym — potwierdziła Vilma.

Pomyślała, że lepiej będzie, gdy markiz nabierze przekonania, że jest pracownicą hotelu „Ritz”. Ojciec wpadłby w szal, gdyby się dowie-

dział, że została znieważona przez hrabiego de Foreta i że popijała szampana w hotelowym pokoju markiza.

— Czy powie mi pani, jak się nazywa? — spytał markiz. — Wtedy będziemy oficjalnie sobie przedstawieni.

— Nazywam się Vilma.

— I to wszystko?

— Nie.

Przez chwilę Vilma zamierzała coś wymyślić. Potem przyszło jej do głowy, że nazwisko „Crawshaw” nic mu nie powie i że markiz nigdy nie może się dowiedzieć, kim ona jest naprawdę.

— Moje nazwisko to Crawshaw.

— A ja jestem markiz Lynworth — odparł.

— Skoro jest pani Angielką, może słyszała pani o moich koniach wyścigowych.

— Oczywiście, że słyszałam! — zawołała Vilma. — Wiem, że Starlight wygrał derby w tym roku.

— Był to mój wielki triumf i byłem z tego bardzo dumny — odrzekł markiz. — Czy pani mieszka w Paryżu?

— Nie, jestem tu tylko... na krótko — oznajmiła Vilma.

— Mam wrażenie, że Cesar Ritz poprosił panią o pomoc przy zawieszaniu tych żyrandoli, bo sądził, że Anglicy są bardziej doświadczeni

w sprawach elektrycznego oświetlenia niż Francuzi.

— Sądzę, że jest całkiem odwrotnie.

— Chylę oczywiście czoła przed pani wiedzą — rzekł z uśmiechem markiz. — Wprowadziłem światło elektryczne u siebie w domu w Anglii, ale odkąd tu przyjechałem, doszedłem do wniosku, że oświetlenie zainstalowane przez Cesara Ritza jest o wiele lepsze.

— To ze względu na kolor, jaki wybrał. To odcień jasnobrzoskwiniowy — powiedziała Vilma. — Pan Ritz opowiedział mi, że spędził długie godziny, eksperymentując z kolorami, by jak najlepiej pasowały do kobiecej karnacji.

Markiz roześmiał się.

— Tylko Francuzowi mogło coś takiego przyjść do głowy i przyznaję, że sam nie wpadłbym na to.

Vilma wypić łyk szampana i odstawiła niemal pełny kieliszek.

— Myślę, że powinnam już iść.

— Czy musi się pani tak śpieszyć? — spytał markiz. — Chciałbym spytać panią o wiele rzeczy. Na przykład z pewnością pomogłaby mi pani rozwiązać problem moich starych srebrnych kinkietów, które trudno przerobić na elektryczne.

Vilma uświadomiła sobie, że traci grunt pod nogami, ale szybko odparła:

— Pan Ritz ma bardzo doświadczonego elektryka, który przerobił żyrandol w pokoju hrabiego. Wyszedł tylko na chwilę po kilka żarówek. Powinien już być z powrotem.

— Chyba pozwolę mu skończyć pracę, nie drażnić więcej hrabiego — powiedział markiz. — Kiedy się z tym upora, zamknie za sobą drzwi, a wtedy pani będzie mogła spokojnie tamtędy przejść.

Vilma czuła, że nie chciałyby znowu natknąć się na hrabiego. Wzdrygnęła się lekko. Markiz to zauważył.

Napił się szampana i rzekł:

— Pani chyba nie spaceruje samotnie po Paryżu? Jeśli tak, z pewnością wpadnie pani w tarapaty.

— Nie przyszedłam tu sama, bo pan Ritz był tak miły, że mnie przywiózł. Na pewno mnie teraz szuka.

Mówiąc to, odniosła wrażenie, że przekonała markiza, iż miała do wypełnienia jakieś zadanie związane z oświetleniem. Utwierdziły ją w tym jego słowa:

— Jeśli skończyła pani swoją dzisiejszą pracę, może pani odpocząć, i porozmawiamy o tym, co nas oboje interesuje.

Vilma roześmiała się.

— Ma pan na myśli konie!

— Oczywiście — odpowiedział markiz, a jego oczy rozbłyły — o czym innym mogłoby rozmawiać dwoje Anglików?

— Niech mi pan powie, które konie pana zdaniem są najlepsze — poprosiła Vilma.

Markiz opowiedział jej o koniach, które trenowano w jego stajniach. Zauważył, że naprawdę ją to interesuje. Przekonał się, że większość kobiet nie rozumie jego pasji. Jeśli próbował rozmawiać na temat klasy i ułożenia wierzchowców, zaraz kierowały rozmowę na znane sobie tematy.

Vilma była inna. Szybko zorientował się, że wie sporo o koniach i ich hodowli. Była urzeczona wszystkim, co jej opowiadał.

Wstał, by napełnić jej kieliszek. I jakby prze-rwał tym czarodziejską nić, jaka zdawała się ich łączyć. Vilma odezwała się:

— Muszę naprawdę już iść. Mój ojciec źle się czuje i nie lubię zostawiać go samego przez dłuższy czas.

— Przykro mi to słyszeć — odrzekł markiz. — Właśnie zastanawiałem się, czy moglibyśmy kontynuować naszą rozmowę przy kolacji.

Vilma spojrzała na niego ze zdumieniem. Markiz wiedział, że nie spodziewała się takiej propozycji.

— Nie spotkalibyśmy się tutaj, gdyby to miało być dla pani kłopotliwe — powiedział. — Znam

urocze miejsce na południowym brzegu, gdzie jest znakomite jedzenie i gdzie nikt nas nie zobaczy.

— To bardzo miłe z pana strony, ale oczywiście niemożliwe.

— Dlaczego? — spytał markiz.

Gdy zadawał to pytanie, widział, że Vilma toczy z sobą wewnętrzną walkę. Kolacja sam na sam z mężczyzną wydawała się jej wyjątkowo ekscytująca. Jednak było czymś nie do pomyślenia, by wchodząca w życie panna mogła coś takiego zrobić.

— Odnoszę wrażenie, że jest pani od niedawna w Paryżu i że jeszcze nie widziała pani miasta nocą.

Spojrzała na niego pytająco, ale nic nie powiedziała, więc ciągnął dalej:

— Chciałbym zabrać panią na przejażdżkę wzdłuż Sekwany. Nie ma według mnie nic piękniejszego niż plac Zgody, z jego fontannami i z gwiazdami na niebie.

Vilmie zaparło dech w piersiach. Marzyła, by to zobaczyć. Wiedziała, że nikt inny jej tego nie zaproponuje.

— Czy naprawdę... mogłabym? — spytała.

Zadała to pytanie bardziej sobie niż markizowi.

— Obiecuję, że odwiozę panią do domu natychmiast, gdy sobie pani tego zażyczy. To coś,

co sam bardzo lubię oglądać i chciałbym pokazać to pani pierwszy raz.

Vilma zawahała się i sprawa była przesądzona.

— Czy pan rzeczywiście myśli, że... to byłoby stosowne? — spytała. — Mogłabym wyjść o dziewiątej.

Wiedziała, że o tej porze ojciec będzie jadł kolację, a potem zechce odpocząć i pójdzie spać.

— To mi odpowiada — rzekł markiz. — Gdzie moglibyśmy się spotkać?

Vilma pomyślała, że jest to niewątpliwie problem. Gdyby poprosiła go, by przyszedł po nią do domu, mogłoby się okazać, że zna wicehrabiego. Poza tym Herbert na pewno powiedziałby ojcu, że się umówiła.

— Czy moglibyśmy się spotkać tutaj przy drzwiach od podwórza?

— Oczywiście, jeśli pani tak sobie życzy — odparł markiz.

Pomyślał sobie, że może wstydzi się miejsca, w którym się zatrzymała. Może była w gruncie rzeczy bardzo uboga? Ale jednocześnie doświadczonego wzrokiem ocenił, że jej znakomicie dobrana suknia jest naprawdę kosztowna.

Ta kobieta stanowiła zagadkę.

Markiz bardzo lubił wszystko, co nieoczekiwane i tajemnicze.



— Będę więc czekał przy owym tylnym wyjściu o dziewiątej. Obiecuję, że nie będzie pani miała więcej do czynienia z przerażającymi smokami! Czy muszę dodawać, że cieszę się na nasze wieczorne spotkanie?

— Dziękuję, dziękuję — powiedziała Vilma. — A teraz może pan łaskawie sprawdzi, czy drzwi do pokoju hrabiego są zamknięte, żebym mogła wyjść i odszukać pana Ritza.

Podawała mu dłoń na pożegnanie. Potem włożyła kapelusz, przeglądając się przelotnie w lustrze.

Obserwując ją, markiz pomyślał, że jej naturalność jest bardzo pociągająca. Vilma na pewno różniła się zdecydowanie od wszystkich kobiet, które znał do tej pory.

To dlatego, że jest taka młoda — przemknęło mu przez myśl — a przy tym o wiele za ładna, by samotnie wędrować po Paryżu.

Pomyślał sobie, że jej rodzina, o ile ją miała, za mało się o nią troszczy. Nic jednak nie powiedział, podszedł do drzwi, otworzył je i wyrzął. Wszystkie pokoje wzdłuż całego korytarza były pozamykane.

— Jest pani całkiem bezpieczna, ale trzeba się spieszyć.

Vilma uśmiechnęła się do niego.

— Jest pan bardzo uprzejmy, ale proszę... czy może pan patrzeć, dopóki nie dojdę do końca ko-

rytarza, na wypadek gdyby hrabia wyszedł nagle z pokoju?

Powiedziała to nerwowym tonem. Markiz wiedział, że naprawdę boi się hrabiego.

— Będę patrzył, aż zniknie mi pani z oczu — obiecał. Vilma przemknęła przez korytarz tak szybko, że markizowi zdawało się, że niemal nie dotyka podłogi. Obserwował ją, aż stała się małą figurką na końcu długiego korytarza. Tak jak się spodziewał, odwróciła się i pomachała mu ręką. A potem znikła.

## 4

Kiedy Vilma dobiegła do bocznych schodów, którymi uprzednio weszła na górę, zobaczyła idącego nimi pośpiesznie pana Ritza. Poczekała, aż doszedł do szczytu, zobaczył ją i wykrzyknął:

— Och, mademoiselle, bardzo przepraszam! Proszę mi wybaczyć, ale jest taki bałagan i tylko ja mogłem coś na to poradzić.

— Rozumiem — odparła Vilma — ale teraz, monsieur, muszę iść do domu.

Spojrzał na korytarz, jakby się nad czymś zastanawiał, a ona dodała:

— Właśnie przyjechał hrabia Gaston de Foret.

— Przyjechał?! — wykrzyknął Ritz. — Powiedział, że będzie najwcześniej o siódmej!

Vilma nie odpowiedziała. Po prostu zaczęła schodzić po stopniach. Cesar Ritz, mrucząc coś pod nosem, podążył za nią.

Na dole czekał jego powóz. Pomógł Vilmie wsiąść i zajął miejsce obok. Widząc to, Vilma zawołała:

— Jestem pewna, monsieur, że ma pan masę pracy w hotelu, a ja mogę wrócić sama.

— To nie byłoby *comme il faut* — odrzekł z powagą. — Wyświadczyła mi pani wielką przysługę, jakże więc mógłbym okazać się niegrzeczny i nie odwiedzić pani do domu wicehrabiego?

Vilma nie odpowiedziała. Pomyślała, jak bardzo zaszokowany byłby pan Cesar Ritz, gdyby wiedział, jak się zachował hrabia.

Co za szczęście, że markiz przechodził obok i drzwi były otwarte! W przeciwnym razie tamten mógłby mnie... pocałować. — Wzdrygnęła się na tę myśl. Potem skoncentrowała się z wysiłkiem na tym, co mówił pan Ritz. Przedstawił jej listę gości, którzy już odwiedzili jego hotel, i tych, którzy zarezerwowali stoliki na ten wieczór. Nazwiska brzmiały bardzo dostojnie i Vilma miałaby ochotę zobaczyć ich wszystkich przy kolacji. Uznała jednak pójście na kolację z markizem za bardziej ekscytujące, chociaż niezbyt stosowne.

Kiedy powóz podjechał pod dom wicehrabiego, Vilma podziękowała Cesarowi Ritzowi za pokazanie jej hotelu, on zaś raz jeszcze wyraził wdzięczność za pożyczenie żyrandola.

Po wejściu do domu spotkała Herberta pod drzwiami pokoju ojca.

— Jak się czuje papa? — spytała. — Czy może się ze mną zobaczyć?

— Jego lordowska mość... to znaczy pan pułkownik śpi — odparł Herbert. — Sądzę, że to dla niego najlepsze po zabiegu.

— Mam nadzieję, że zabiegi naprawdę mu pomogą.

— Z tego co wiem, to ten Blanc ma dobrą opinię — powiedział Herbert. — Ale im szybciej wrócimy do Anglii, tym lepiej!

Vilma nie odpowiedziała. Myślała właśnie, jakie to podniecające być w Paryżu, zwłaszcza tego wieczoru, kiedy miała zobaczyć go w świetle gwiazd. Położyła się na łóżku i zaczęła czytać.

Po jakimś czasie przyszedł Herbert, by zawiadomić ją, że ojciec właśnie się obudził. Służący poszedł też do kuchni zamówić coś do jedzenia dla swego pana.

Vilma pobiegła korytarzem do pokoju ojca. Stwierdziła, że ojciec wygląda mizernie. Uśmiechnął się, gdy podeszła do łóżka.

— Jak się czujesz, papo? — spytała.

— Jestem zmęczony — odparł lord. — Ale plecy już mnie tak bardzo nie boją.

Vilma zawołała z radością:

— Och, papo, właśnie to chciałam usłyszeć! Ale musisz odpoczywać, tak jak kazał pan Blanc, i nie martwić się o nic.

Siedziała przy nim, aż zjadł zupę i kilka kęsów ryby. Potem odsunął talerz, mówiąc:

— Już nie chcę jeść. Rzeczywiście jestem tak zmęczony, że muszę pospać.

Herbert zabrał tacę, a Vilma ucałowała ojca na dobranoc.

— Rano na pewno poczujesz się lepiej, papo.

— Mam nadzieję. Chciałbym pokazać ci Paryż, a w moim obecnym stanie jest to niemożliwe.

— Oczywiście, papo. Nie martw się niczym, tylko zdrowiej.

Gdy wróciła do siebie, miała poczucie winy. Czyż jednak mogła się oprzeć pokusie zwiedzenia chociaż trochę Paryża? Poza tym była najzupełniej pewna, że markiz będzie się o nią troszczył.

Włożyła śliczną, kosztowną suknię i narzuciła szafirowy aksamitny płaszcz. Ten kolor podkreślał uderzającą jasność jej cery. Przejrzała się niespokojnie w lustrze. Miała nadzieję, że markiz, znający eleganckie i szykowne Francuzki, nie uzna jej za pozbawioną gustu nudziarę.

Zbiegając po schodach, myślała, którędy najlepiej dostać się do „Ritza”. Nie chciała, by służący

zorientowali się, że robi coś dziwnego. Gdy spostrzegła w hallu starego zarządcę, powiedziała:

— Wychodzę na kolację z przyjaciółmi, z którymi umówiłam się na Rue Cambon. Czy mógłbyś wezwać mi fiakra i wysłać ze mną którąś ze służących?

— Sam pojedę z panią, mademoiselle — odparł zarządca.

— Nie trzeba, skoro masz tyle do roboty. Z pewnością Marie chętnie ze mną pojedzie.

Marie była przydzieloną jej służącą. W średnim wieku. Zarządca zgodził się na tę sugestię i posłał jednego z parobków po powóz. Sam wezwał Marie z kuchni.

Zanim Vilma znalazła nakrycie głowy i szal, dorożka już czekała pod drzwiami. Wsiadła i podała dorożkarzowi numer domu przy Rue Cambon. Miała nadzieję, że zarządca nie zorientuje się, iż mieści się on na tyłach hotelu „Ritz”.

Kiedy ruszyli, Marie powiedziała:

— To dla mnie naprawdę sama przyjemność, mademoiselle. Często myślałam, że chciałabym przejechać się po Paryżu, ale tutejsze powozy są zbyt kosztowne dla kogoś takiego jak ja.

— Więc musisz mi towarzyszyć jutro, gdy będę robić zakupy — odparła Vilma.

Marie najwyraźniej bardzo się ucieszyła. Vilma pomyślała, że dzięki temu nie będzie się za-

stanawiać, dokąd i z kim jej pani idzie na kolację. Była bowiem pewna, że francuska służba jest równie wścibska jak angielska. Vilma chciała przede wszystkim uniknąć wszelkich ploteczek, które mogłyby dotrzeć do jej ojca.

W końcu kiedyś powiem papie o markizie, ale teraz bardzo by się tym zdenerwował — pomyślała. — Papa na pewno spotykał go na wyścigach i nie chciałby, aby dowiedział się o jego wypadku.

Dorożka zajęła na zaplecze hotelu „Ritz”. Vilma zmartwiła się, widząc, że paru dżentelmenów w strojach wieczorowych idzie na przeciwko. Nie spodziewała się, że tak wielu ludzi korzysta z drzwi od podwórza równie często jak z głównego wejścia od strony placu Vendôme.

Wręczyła Marie trochę drobnych na opłacenie dorożki. Wsiadła i powiedziała woźnicy, by zawrócił do domu, z którego przyjechali. Gdy Marie i dorożkarz odjechali, Vilma weszła dość nieśmiało na górę po kilku stopniach i otworzyła drzwi, mając nieprzyjemne wrażenie, że wszyscy na nią patrzą.

Wewnątrz był mały hall, o wiele skromniejszy niż główny, od strony frontowego wejścia. Stały tam jednak wygodne fotele i piękne kompozycje z kwiatów.



Z ulgą dostrzegła markiza, podeszła do niego, a on powiedział:

— Jest pani punktualna, co niespotykane u pięknych kobiet!

Tego rodzaju komplement mógł powiedzieć każdej kobiecie, z którą jadł kolację. Zdziwił się więc, że Vilma się zarumieniła.

— Mój powóz czeka na dworze, chyba że chce pani przyłączyć się do tłumu, który zbiera się w tutejszej restauracji. Ale według mnie im szybciej pojedziemy, tym lepiej.

— Tak, jedźmy od razu — zgodziła się Vilma.

Po chwili wyruszyli. Markiz rozparł się wygodnie na wyściełanym siedzeniu. Vilma usiadła przodem do kierunku jazdy i w podnieceniu przyglądała się przez okno mijanym ulicom, na których paliły się już latarnie.

Była zwrócona profilem do markiza, który pomyślał, że naprawdę jest bardzo ładna. W trakcie przejażdżki tak zachwycało ją wszystko, co widziała, że zapomniała o uprzejmości i w ogóle nie odzywała się do gospodarza.

Było to dla markiza zupełnie nowe doświadczenie. Towarzyszyła mu piękna kobieta, która uznała go za mniej atrakcyjnego niż widok ulic, przez które jechali. W końcu po długim milczeniu markiz odezwał się:

— Mijamy właśnie Luwr. Musi go pani zwiedzić podczas pobytu w Paryżu.

— Myślałam już o tym. Oczywiście chcę zobaczyć zbiory malarstwa. Muszę jeszcze znaleźć kogoś, kto zechce mi towarzyszyć.

Powiedziała to tak naturalnie, że markiz wiedział, iż nie jest to prośba, by poszedł wraz z nią.

— Myślę, że najlepiej zrobimy, spisując wszystko, co chce pani obejrzeć, a ja dodam do listy to, co według mnie może jeszcze panią zainteresować.

— To bardzo miło z pana strony — powiedziała Vilma — ale nie wiem, czy mój ojciec i ja zostaniemy tu na dłużej.

Konie dojechały właśnie do mostu. Vilma wychyliła się i zawołała z przejęciem:

— Widzę Sekwanę! Jestem pewna, że jest jeszcze piękniejsza niż ody na jej cześć spisane w tysiącach ksiąg!

Markiz roześmiał się.

— Może ma pani rację, ale czy mam rozumieć, że czytała pani wiele książek o Paryżu, mimo że nigdy tu pani nie była?

— Oczywiście, że czytałam — odpowiedziała Vilma. — Moja nauczycielka francuskiego zwykła mawiać, że według niej to raj na ziemi.

Markiz pomyślał kpiąco, że wielu ludzi było przeciwnego zdania o Paryżu. Jednak tego

rodzaju uwagę mógłby rzucić bardziej wyrobionej kobiecie. Vilma nie zrozumie, co ma na myśli.

Jeździli wąskimi uliczkami na drugim brzegu rzeki, gdzie jak domyśliła się Vilma, znajdowała się stara część Paryża. W końcu zatrzymali się przed skromną restauracyjką.

Właściciel wylewnie powitał markiza. Wskazano im wygodne miejsca z przepierzeniami po obu stronach przypominającymi przegrody w stajni. Osoby siedzące przy stole mogły się dzięki nim czuć intymnie. Na suficie i na ścianach widać było drewniane belki, a w oknach romboidalne grube szybki.

— To musi być bardzo stary budynek! — powiedziała Vilma, gdy usiedli.

— Jest sprzed rewolucji — wyjaśnił markiz. — Właśnie dlatego lubię tu przychodzić na kolację i mam nadzieję, że pani też to doceni.

— Oczywiście! To bardzo atrakcyjne i niezwykłe miejsce.

Markiz zamówił kolację i butelkę szampana.

— Teraz możemy porozmawiać. Chciałbym, żeby mi pani opowiedziała o sobie.

— Wolałabym raczej mówić o panu, a właściwie o pańskich koniach.

— Myślałem, że już wyczerpaliśmy ten temat — zauważył markiz.

— Zatem proszę opowiedzieć o swoim domu. Gdy się ubierałam, przypomniałam sobie, że widziałam jego zdjęcie w jednej z gazet. Zdaje się, że został zbudowany przez braci Adamów.

— Ma pani słuszność — przyznał markiz — ja zaś próbuję zachować dokładnie takie wyposażenie pokoi, jakie zaprojektowali.

— Byłoby straszne, gdyby coś pan zmienił. Jestem pewna, że nie zastawił ich pan tymi wszystkimi szpargałami, tak ukochanymi w naszych czasach.

— Oczywiście, że nie! — odpowiedział markiz stanowczo.

Kiedy to mówiła, przemknęło mu przez myśl, że takie właśnie zmiany zechce wprowadzić u niego księżniczka. Powiedział sobie, że jeśli zajdzie taka potrzeba, jest gotów do walki z całym narodem niemieckim. Jak mógłby pozwolić na zniszczenie najdoskonalszej palladiańskiej budowli w całej Anglii?

— Proszę opowiedzieć o swoich obrazach — poprosiła Vilma.

Niemal bezwiednie zaczął opowiadać o dziełach, które nabył w celu uzupełnienia odziedziczonej kolekcji.

Kolacja dobiegała końca, zanim się zorientował, że prawie bez przerwy mówił o sobie. Vilma doprowadziła go do tego z równą zręcznością,

z jaką Lisette poprzedniego wieczoru sprowokowała go do rozmów o miłości.

— Teraz pani kolej — zachęcił, gdy podano kawę. — Proszę powiedzieć, czym się pani zajmuje na co dzień.

— Zna pan odpowiedź. Jeżdżę konno i oczywiście do tego roku uczyłam się.

— Przypuszczam, że bardzo dobrze — zauważył markiz. — A prócz pomagania ojcu przy sprzęcie elektrycznym co ma pani zamiar robić w przyszłości?

Vilma pomyślała sobie, jak zdenerwowałyby się ojciec słysząc, że markiz uważa go za rzemieślnika.

— Nadal muszę się dużo uczyć, a przede wszystkim chciałabym podróżować.

— A co z wyjściem za mąż?

— Nie myślałam o tym.

— Nonsens — zaprzeczył markiz. — Każda młoda kobieta marzy o ślubie i jestem pewien, że ma pani już kilku wytwornych wielbicieli, prawiących komplementy i przynoszących pani kwiaty.

— Dostałam dotychczas tylko dwa bukiety kwiatów — odparła Vilma. — Jeden od miłego staruszka, który stwierdził, że przypominam mu wnuczkę, a drugi od kogoś, z kim tańczyłam na przyjęciu i kto chciał się ze mną umówić. Był jednak takim nudziarzem, że odmówiłam.

Markiz roześmiał się.

— To bardzo smutne, ale może po powrocie do Anglii wszystko się zmieni. Nauczy się tu pani francuskiej sztuki flirtu, której angielscy znajomi nie będą umieli się oprzeć.

Mówił tonem żartobliwym, aż zdał sobie sprawę, że Vilma przygląda mu się badawczo.

— Często zastanawiałam się, co to znaczy flirtować. Kiedyś spytałam matkę, a ona powiedziała, że to bardzo wulgarny sposób zachowania w miejscu publicznym i nie przystoi damie.

— Zatem oczywiście nie wolno pani flirtować — wycofał się markiz — ale jeśli zostanie pani na dłużej w Paryżu, uniknięcie tego może okazać się trudne.

— Na szczęście nie znam żadnych Francuzów — odparła Vilma — oczywiście poza hrabią, a on jest okropny! Jakie to szczęście, że pan przechodził obok i... wyratował mnie.

— A jak pani sądzi, przed czym panią uratowałem? — chciał dowiedzieć się markiz.

Vilma zarumieniła się i rzekła cicho:

— Powiedział, że chciałby mnie trzymać w ramionach, i myślę... że próbowałby mnie... pocałować.

— I to byłoby takie okropne? — spytał markiz.

— Oczywiście, że tak! — potwierdziła Vilma. — On był odrażający. A ja bardzo się przestraszyłam, lecz usłyszałam, że pan mówi po angielsku.

— Obawiam się, że może pani spotkać w Paryżu wielu mężczyzn pokroju hrabiego. A ponieważ nie chcę, żeby pani kiedykolwiek była przerażona, musi pani bardzo ostrożnie przyjmować zaproszenia.

— To proste — mruknęła Vilma. — Nikt mnie tu nigdzie nie zaprosi, więc będę całkiem bezpieczna.

— Przecież przyjęła pani moje zaproszenie — powiedział markiz lekko drwiąco.

— Ale pan jest Anglikiem — wyjaśniła Vilma — i czułam, że mogę panu zaufać.

— Po czym to pani poznała? — zaciekawił się markiz.

Zastanowiła się chwilę, zanim odpowiedziała:

— Kiedy wchodzi się w kontakt z ludźmi, natychmiast odczuwa się wysyłane przez nich sygnały. Nie chodzi o to, co mówią, tylko o to, jak się ich odbiera.

Markiz zdumiał się.

— Sam zawsze byłem o tym przekonany, ale nigdy nie znałem kobiety, która umiałaby wyłożyć to tak jasno.

— Czasami gdy kogoś spotykam, na podstawie otaczającej go aury wiem, że coś jest nie w porządku, i gdy tylko hrabia odezwał się do mnie, byłam pewna, że jest niebezpieczny.

— Powinna pani trzymać się od niego z daleka — doradził markiz. — Czy jutro musi pani przyjść do „Ritza”?

— Nie, oczywiście, że nie.

— Zatem żyrandol w sypialni hrabiego był ostatni — powiedział markiz jakby do siebie.

— Tak, z całą pewnością ostatni — potwierdziła Vilma. — Pan Ritz osobiście powiedział mi, że już wszystkie pokoje mają kompletne wyposażenie.

— Czy to znaczy, że wraca pani do Anglii?

— Obawiam się, że tak, gdy tylko ojciec poczuje się lepiej.

Czuła się nieswojo podczas tej wymiany zdań, więc zrećcznie zmieniła temat. Znowu rozmawiali na temat Lyn i innych posiadłości markiza.

Kiedy w końcu wyszli z restauracji, powóz już czekał i Vilma zauważyła, że ma opuszczony dach.

— Czy będzie pani ciepło? — spytał markiz.

— Oczywiście, to bardzo ciepła noc.

Markiz nie przeoczył błysku jej oczu, gdy konie ruszyły. Wkrótce znaleźli się na drodze biegnącej wzdłuż Sekwany. Gwiazdy rozbłysły już



na niebie i podobnie jak światła latarni, odbijały się w wodzie.

Obserwując Vilnę, markiz z rozbawieniem pomyślał, że znowu zapomniała o jego obecności. Była tak pochłonięta tym, co widzi, że nie zwracała sobie głowy towarzyską konwersacją.

On zaś był przyzwyczajony, że kobiety siedzące obok niego w powozie zawsze przysuwały się bliżej. Potem wsuwały mu dłoń w jego dłoń i kokieteryjnie odwracały ku niemu twarz. Natomiast Vilna patrzyła na rzekę, latarnie i gwiazdy.

Markiz musiał przyznać, że to nowe doświadczenie dobrze mu zrobi. Jechali dalej. Gdy dotarli do placu Zgody, markiz kazał dorożkarzowi stanąć, by Vilna mogła przyjrzeć się fontanom.

Bijąca w górę woda mieniła się barwami tęczy, opadając do położonego niżej zbiornika. Pełnego tajemniczości, pięknego obrazu dopełniały posągi Gabriela, wysoki obelisk z ruin świątyni w Luksorze i rosnące tam drzewa.

Markiz i Vilna przez pewien czas milczeli, w końcu ona powiedziała cicho w zachwycie:

— Jakie to śliczne... doskonale piękne! Mam wrażenie, że to nie może być realne!

— To samo myślę o pani — odparł markiz.

Przez chwilę sądził, że nie dosłyszała. Potem odwróciła się i spojrzała na niego, a w jej oczach odbijały się gwiazdy.

— Gdybym mogła stanowić tego cząstkę, na zawsze chciałabym pozostać w tym baśniowym świecie!

— I myślę, że w jakimś sensie tak będzie — odparł markiz.

Dał znak dorożkarzowi, by ruszał. Dwukrotnie okrążyli plac Zgody, zanim wjechali na Pola Elizejskie. Gdy na początku alei mijali Łuk Triumfalny, markiz wyjaśnił Vilmie, że został on zamówiony przez Napoleona Bonaparte, ale odsłonięty dopiero trzydzieści lat później za panowania Ludwika Filipa.

W drodze powrotnej Vilma szepnęła:

— Teraz wreszcie zobaczyłam Paryż!

— Ale nie cały — dorzucił markiz. — Chciałbym pokazać pani o wiele więcej.

— A ja chciałabym to zobaczyć. Ale nie mogę zabierać panu czasu — zastrzegła. — Jestem pewna, że ma pan inne zobowiązania względem osób, które są o wiele bardziej interesujące ode mnie.

Powiedziała to, co naprawdę myślała. Markiz wiedział, że nie udawała.

— Nie przychodzi mi do głowy nic, co sprawiłoby mi większą przyjemność niż oprowadzanie pani po Paryżu — powiedział. — Jutro rano zabiorę panią do parku Bois, który powinien się pani spodobać. Potem zastanowimy się, co zrobi-

my po południu, a będziemy mieć szeroki wybór rozrywek.

— Czy pan naprawdę... nie traci czasu? — spytała.

— Myślę, że mogę sobie na to pozwolić.

— Wobec tego to najwspanialsza rzecz, jaką mogłam sobie wyobrazić. Och, jeszcze raz bardzo dziękuję! Zdaje się, że zawsze będę musiała to panu powtarzać.

Markiz uświadomił sobie, że jeszcze nikt nie dziękował mu tak szczerze i z głębi serca. Nawet gdyby dał Vilmie diamentowy naszyjnik, nie mogłaby się bardziej ucieszyć.

Gdy jechali wzdłuż Pól Elizejskich, spytał:

— Gdzie pani mieszka?

Vilma zawahała się, a potem oznajmiła:

— Przy Faubourg St. Honore 25.

Markiz uniósł brwi ze zdziwienia.

— Czyżby w domu mojego przyjaciela?

— Wicehrabiego nie ma — odparła szybko Vilma.

— A pani i ojciec instalujecie u niego elektryczność — powiedział domyślnie markiz.

Vilma nie zaprzeczyła. Pomyślała, że dzięki jej sprytowi markiz nie dowie się, że ona i ojciec są gośćmi wicehrabiego.

— Teraz przynajmniej wiem, dokąd przyjechać po panią jutro rano — zauważył mar-

kiz, gdy podjechali pod dom. — Powiedzmy, o wpół do dwunastej? A może to za wcześnie dla pani?

Vilma roześmiała się.

— Zawsze wstaję wcześnie. Lubię jeździć konno przed śniadaniem.

— Ja również. Może uda się nam pojeździć kiedyś razem w Anglii.

Pomyślał jednak, że jest to bardzo mało prawdopodobne. Umiał sobie wyobrazić te ploteczki, gdyby zaprosił Vilmę do Lyn i jeździł z nią konno, zanim przystąpiłaby do pracy przy instalacji żyrandoli.

Vilma zaś pomyślała, że chciałyby zaprosić markiza do siebie do domu. Nie sądziła, by konie jej ojca mogły się równać z wierzchowcami markiza, ale na kilku z nich prezentowały się wspaniale. Były tam także konie skaczące przez przeszkody, co mogłoby stanowić dla niego wyzwanie.

Potem jednak powiedziała sobie, że kiedy wyjedzie z ojcem z Paryża, nie zobaczy już więcej markiza. Pamiętała, że czytała o nim w gazecie o życiu dworu. Bywał na przyjęciach, na które jej rodziców nie zapraszano. Organizował je oczywiście książę Walii, a wśród gości były piękne damy, z którymi po kolei łączono nazwisko markiza.

Natomiast te nieliczne bale, na które zapraszano Vilnę, organizowały szacowne wdowy ze sfer arystokracji z myślą o swych wnuczkach, a jej rówieśnicach. Vilna zdawała sobie sprawę, że w oczach „eleganckiego towarzystwa” mogły one uchodzić za szczyt nudy. O rozrywkach tych kręgów czytała jedynie w gazetach. Było nieprawdopodobne, by została zaproszona na bal przez hrabinę Warwick, a tym bardziej, by dostała zaproszenie do Marlborough House.

Nigdy już nie zobaczę markiza, gdy wrócę do Anglii — znów sobie uświadomiła i rzekła:

— Jeśli jest pan przekonany, że go to nie znudzi, z przyjemnością pojedę jutro do Bois.

— A zatem będę niecierpliwie czekał — odparł markiz.

Zbliżali się do domu wicehrabiego. Nagle markizowi przyszło do głowy, że gdyby był z jakąkolwiek inną kobietą, na pewno pocałowałby ją na dobranoc. Pomyślał, że usta Vilmy z pewnością są miękkie, słodkie i niewinne. Z tego co mówiła, wywnioskował, że na pewno nigdy z nikim się nie całowała. Pomyślał, że byłoby podniecające być pierwszym mężczyzną, który to zrobi. Jednocześnie wiedział, że jest tak przestraszona zachowaniem hrabiego, że gdyby ją tylko tknął, jeszcze bardziej wyprowadziłby ją z równowagi. Mogłaby uciec i nie zobaczyłby

jej ponownie. Nie miał zamiaru ponosić takiej kary.

Kiedy konie stanęły, uświadomił sobie, że przeżył wspaniały wieczór. Nie nudził się ani przez chwilę podczas przejażdżki ani przy kolacji. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że w ogóle nie myślał o księżniczce i o niemiłych perspektywach przyszłości.

Nieraz słyszał, jak starsi ludzie mówili, że „młodość ma specyficzny urok”. Zrozumiał, że dzięki Vilmie poznał ów wdzięk młodości. Było to coś tak wspaniałego i czystego jak piękno gwiazd oglądanych z placu Zgody. Coś bardzo różniącego się od przyjemności, jaką zapewniła mu Lisette poprzedniej nocy.

Powóz zatrzymał się i markiz wysiadł pierwszy. Kiedy podał Vilmie rękę, by pomóc jej wysiąść, poczuł, że naprawdę chce się z nią znów spotkać. Nie chciał zrobić niczego, co by ją spłoszyło.

Woźnica zadzwonił do domu i zaspany służący otworzył drzwi.

— Dobranoc, Vilmo — powiedział markiz.

— Dobranoc, milordzie, i dziękuję raz jeszcze za wspaniały, cudowny wieczór. Zawsze go będę pamiętać.

— Baśń się jeszcze nie skończyła. — Markiz się uśmiechnął. — Przyjadę jutro o wpół do dwunastej.

Spojrzała na niego rozjaśnionym wzrokiem. Zrozumiał, że to właśnie chciała usłyszeć. Stała w drzwiach domu, a markiz wszedł z powrotem do powozu. Gdy odjeżdżał, pomachała mu na pożegnanie. Światło z głębi korytarza utworzyło jakby aureolę wokół jej jasnych włosów. Markiz pomyślał, że to wyjątkowo śliczny obraz. Jeden z tych, które chciałby mieć w swej galerii.

Vilma weszła do hallu, podziękowała służącemu i udała się na górę. Zobaczyła Herberta wychodzącego z pokoju ojca.

— Czy papa się obudził? — spytała.

Pokręcił głową.

— Śpi jak nowo narodzone dziecko. Ten doktor Blanc działa cuda.

— Jestem pewna, że jutro papa poczuje się lepiej.

— Czy pani miło spędziła czas z przyjaciółmi, panno Vilmo? — spytał Herbert.

Ponieważ znał ją od dziecka, Vilma wiedziała, że naprawdę go to interesuje.

— Bawiłam się cudownie, po prostu wspaniale! — odpowiedziała. — Jutro rano jadę na przejażdżkę do Bois, ale lepiej nie wspominaj o tym papie, boby się o mnie martwił.

— Jego lordowska mość martwi się jedynie tym, aby jego przyjaciele nie dowiedzieli się, że nie trzyma się w siodle tak pewnie, jak uważał.

Na tego rodzaju uwagę mógł pozwolić sobie tylko Herbert, którego nikt by nie posądził o impertynencję lub brak lojalności.

Vilma roześmiała się.

— Musimy mieć pewność, że papa nie utraci czci, i nie zapominajmy, że nikt nie może poznać naszej prawdziwej tożsamości.

Herbert sapnął.

— To cała komedia! Czysta głupota, gdyby kto mnie pytał.

Vilma poszła do swego pokoju. Powiedziała Marie, by na nią nie czekała, więc sama rozpięła sobie suknię. Dopiero czesząc przed lustrem włosy, przyjrzała się swemu odbiciu i zadała sobie pytanie, czy czuje się urażona.

Markiz ani przez chwilę bowiem nie pomyślał, że jest kimś innym niż córką elektryka. Był przekonany, że pomaga ojcu i pracuje zarobkowo. Oczywiście, cieszyła się, że dał się oszukać i nie zadawał kłopotliwych pytań. Ale z drugiej strony było to upokarzające. Należała przecież do jednego z najstarszych rodów w hrabstwie Debrett. Mimo to dla markiza nie było oczywiście, że ma arystokratyczne pochodzenie.

Herbert nazwał to komedią i rzeczywiście tak było. Pomyślała sobie, że wołałaby, gdyby markiz uznał, że niemożliwe, by wykonywała jakieś posługi. A on po prostu uwierzył w to, co mu



powiedziała. Pomyślał, że nie chce spotkać się z wytwornym towarzystwem w hotelu „Ritz”, bo czułaby się gorsza.

Jak śmiał coś takiego pomyśleć? — zadała sobie pytanie. Z drugiej strony, gdyby wziął ją za damę, nie zabrałby jej na kolację we dwoje. Nie zaproponowałby także tej czarującej przejażdżki pod gwiazdami.

Sądzę, że za wszystko w życiu trzeba płacić w ten lub inny sposób — skwitowała Vilma z filozoficzną zadumą. — Najwyraźniej markiz zrobił na mnie wielkie wrażenie, a ja na nim nie.

W istocie obdarzył ją kilkoma komplementami. Zastanawiała się jednak, do jakiego stopnia były szczere. Miała niemiłe uczucie, że traktuje ją jak dziecko, wobec którego zabawnie jest być grzecznym, a nie jak wchodzącą w życie pannę z dobrej rodziny, którą była w Londynie.

Potem musiała przyznać, że jak na „wchodzącą w życie pannę” zachowała się w sposób karygodny. Zwłaszcza mając do czynienia z kimś tak znanym i dystygowanym jak markiz.

Oczywiście nie byłoby tak przyjemnie, gdyby zaprosił jeszcze dwie osoby do towarzystwa — pomyślała — ale po prostu wolałabym, gdyby okazał, że traktuje mnie poważniej niż zwykłą córkę elektryka.

Rozsunęła zasłony i spojrzała w gwiazdy.

Znowu miała to uczucie graniczące niemal z ekstazą. To samo czuła, widząc piękno fontann na placu Zgody.

Żegnając się z nią, markiz powiedział, że baśń się jeszcze nie skończyła.

Zobaczę go jutro — pocieszyła się Vilma.

Idąc do łóżka, powiedziała sobie, że tylko to się liczy.

scandalous

O jedenastej Pierre Blanc przyszedł na zabieg do lorda. Pół godziny później zjawił się markiz.

Vilma wiedziała, że może w tym czasie spokojnie wyjść, bo ojciec nie będzie jej wzywał do siebie. Zaśnie zaraz po wizycie pana Blanca.

Był piękny dzień, słońce świeciło na błękitnym niebie.

Vilma włożyła najładniejszy kapelusz i jedną z najelegantszych sukien.

Gdy wyszła z domu, miała wrażenie, że markiz przyjrzał jej się z aprobatą. Czekał w powozie jeszcze wytworniejszym niż ten, którym jeździł z Lisette poprzedniego ranka. Konie także były jeszcze wspanialsze.

Lokaj, siedzący na małym siodełku z tyłu powozu, pomógł Vilmie wsiąść.

— Dzień dobry, Vilmo — przywitał się markiz. — Mam nadzieję, że dobrze pani spała?

— Śnił mi się plac Zgody i Łuk Triumfalny — odparła.

Markiz uśmiechnął się. Wiedział, że większość kobiet zapewniłaby, iż tylko o nim śniła. Nauczył się już jednak godzić z tym, że w przypadku Vilmy schodził na drugi plan, bo ona wyżej ceniła piękno Paryża.

Gdy jechali w kierunku Bois, Vilma powiedziała:

— To bardzo ekscytujące jechać bryczką powożoną przez pana. Jestem pewna, że prowadzi pan lepiej niż jakikolwiek Francuz.

— To prawdziwy komplement, mam nadzieję, że tak jest w istocie — odparł markiz.

Kiedy dojechali do Bois, Vilma przekonała się, że markiz ma bardzo dużo konkurentów. Wielu Francuzów powoziło z ogromną prędkością najnowszymi modelami bryczek. Inni jechali powoli, by móc rozmawiać ze znajomymi idącymi piechotą.

Gdy Vilma zobaczyła paryskie kokoty w ich fantastycznych ekwipażach, zrobiła wielkie oczy. Markiz widział, że jest zdumiona. Jednak nic nie powiedziała, dopóki nie dostrzegła ślicznej kobiety w otwartym powozie, otoczonej gromadą bardzo eleganckich mężczyzn.

— Kto to jest? — spytała.  
— To Piękna Otero — odrzekł markiz.  
— Ojciec powiedział, że nie powinnam o niej wspominać — wyznała Vilma bez zastanowienia.

— Dlaczego tak uważa? — spytał markiz.  
— Powiedział, że ani moja matka, ani moja babka nigdy nie wymieniłyby nawet jej imienia — odparła Vilma naiwnie.

Markiz uśmiechnął się pod nosem. Gdy mijali jej powóz, Piękna Otero pomachała mu ręką, a on uchylił kapelusza.

— Pan ją zna? — spytała Vilma, gdy pojechali dalej.

— Występuje w „Folies Bergeres” i jest wspaniałą tancerką.

— Och, tak bardzo chciałabym ją zobaczyć!  
— wykrzyknęła Vilma.

Markiz ponownie się uśmiechnął.

— Sądzę, że pani ojciec nie pochwalałby pani wizyty w „Folies Bergeres”.

— Dlaczego miałoby mu się to nie podobać?

Przez chwilę markiz nie odpowiadał, koncentrując się najeździe. Potem rzekł:

— „Folies Bergeres” jest czymś wyjątkowym nawet w Paryżu. Teraz wystawiają tam rewię i jest to jedno z najbardziej popularnych miejsc w świecie rozrywki.

Vilma uznała, że to brzmi ekscytująco.

— I Piękna Otero tam tańczy?

— Tak, i to wspaniale.

— A zatem cóż złego, bym rozmawiała na jej temat? — zdziwiła się Vilma.

Markiz pomyślał, że gdyby jej to wyjaśnił, zrobiłby błąd. Nigdy wcześniej nie spotkał kobiety, z którą mógłby poruszyć swobodnie tak wiele tematów jak z mężczyzną. Jednak mimo że Vilma była naprawdę inteligentna, wiedział, że w sprawach miłości i seksu jest całkiem niedoświadczona.

Spojrzała na niego wyczekująco i po chwili powiedziała:

— Przypuszczam, że nie powinnam zadawać tego typu pytań, ale z papą rozmawiamy o wszystkim, co nam przyjdzie do głowy. Zapomniałam, że są tematy, których nie powinnam poruszać.

— Mam nadzieję, że należę do tej samej kategorii ludzi, co pani ojciec — zauważył markiz — i że możemy rozmawiać o wszystkim bez skrępowania.

— Nawet o Pięknej Otero?

— Sądzę, że i bez nas jest częstym tematem rozmów — odparł markiz kpiąco. — Myślę, że lepiej opowiem pani o Karze Leonce, która zdobyła uznanie dzięki temu, że umie wisieć na trapezie na lince trzymanej w zębach.

Rozśmieszył Vilnę tak, że zapomniała o Pięknej Otero.

Markiz zastanawiał się jednak, co pomyślała-by o obecnej modzie na perwersję.

Kilka lat temu paryscy studenci malarstwa wynajęli „Moulin Rouge” na zorganizowany przez siebie Bal Sztuk Pięknych. Podczas zabawy dwie dziewczyny zaczęły porównywać nogi, a inne szybko poszły w ich ślady. Nagle jedna z modelek, dumna ze swych wdzięków, wskoczyła na stół, pewna zwycięstwa. Mona, bo tak miała na imię, zrobiła to bez złej myśli. Ale ponieważ się rozebrała, policja zgarnęła ją rano. Modelka stanęła przed sądem magistrackim z kilkoma innymi dziewczynami, które zachowały się tak samo.

Wszystkie zostały ukarane grzywną po sto franków, którą miały zapłacić w wyznaczonym czasie. Wyrok nie był surowy, ale studenci z Dzielnicy Łacińskiej poczuli się dotknięci i dwa dni później zaczęły się zamieszki. Pisały o tym gazety na całym świecie.

Rok później kiepska mała knajpka przy Rue des Martyrs co wieczór gromadziła tłumy, bo występowała tam całkiem naga dziewczyna. Tak to się zaczęło.

Chociaż w „Folies Bergeres” nie posunięto się tak daleko, tamtejsze wykonawczynie poka-

zywały również coraz więcej nagości. Markiz uznał, że zabranie tam Vilmy byłoby z jego strony błędem, chociaż interesowała go jej reakcja.

Jeździli po mniej lub bardziej zatłoczonych alejach Bois. Potem markiz zaprosił Vilnę na lunch do restauracji z widokiem na Sekwanę. Lokal znajdował się na trzecim piętrze. Siedząca przy oknie Vilna obserwowała barki płynące w górę i w dół rzeki. Widziała mewy, które dotarły tu znad morza, i odbijające się w wodzie promienie słońca. Wszystko, tak jak się spodziewał markiz, robiło na niej duże wrażenie.

Zdawał sobie sprawę, że żadna inna kobieta, którą przywiózłby do tej specyficznej restauracji, nie wyglądałaby przez okno. Każda patrzyłaby na niego.

— Jestem pewna, że Paryż jest najpiękniejszym miastem świata — powiedziała Vilna, próbując skupić się na jedzeniu. — Nie jadłam również dotychczas nic lepszego.

— Zawsze gdy tu przyjeżdżam, mam takie wrażenia — potwierdził markiz — i chociaż mój kucharz jest znakomity, Francuzi mają talent do przekształcania każdej potrawy w dzieło sztuki.

— To trafna uwaga i będę pamiętać, co pan powiedział, nawet po powrocie do Anglii.

— Czy tylko tak pani mnie zapamięta?



— Oczywiście, że nie! Miło być tu z panem i móc rozmawiać na rozmaite tematy, które mnie interesują, a zdają się nie interesować innych kobiet.

Markiz uśmiechnął się do niej.

— A przynajmniej większości kobiet, bo bardziej zajmują je romanse, a na ten temat pani, zdaje się, wie niewiele.

— Nigdy nie byłam zakochana — przyznała Vilma — ale sądzę, że to musi być wspaniałe uczucie, jak sięganie do gwiazd czy spacer na księżyc.

— Niektórzy mówią, że to pali jak słoneczny żar — dodał markiz.

Vilma zamilkła na chwilę, a potem oznajmiła:

— Nie bardzo rozumiem. Co pan ma na myśli?

— Kiedy wyjdzie pani za mąż, wówczas się dowie. Trudno to wyrazić słowami, ale odczuje to pani sercem.

— I oczywiście duszą — dodała szybko Vilma. — Uważam, że miłość jest częścią duszy.

Markiz pomyślał, że ona zawsze ma coś niezwykłego do powiedzenia i że jak zwykle ma rację. Chociaż osobiście wątpił, by jego dusza była zaangażowana w którykolwiek z licznych romansów, jakie przeżył z pięknymi kobietami.

Kiedy po lunchu wyszli z restauracji, markiz zaproponował:

— Odwiozę panią do domu, ale najpierw pojedziemy obejrzeć wieżę Eiffla. Może jutro chciałaby pani wejść na szczyt?

— Marzę o tym — przyznała Vilma. — Ale czy pan naprawdę nie straci zbyt wiele czasu, spotykając się ze mną ponownie?

— Myślę, że mogę sobie na to pozwolić — powtórzył markiz wcześniejsze zapewnienie.

Vilma westchnęła z zadowoleniem.

— Kiedy wieczorem odmawiałam pacierz, gorąco dziękowałam Bogu, że postawił pana na mej drodze. Byłoby ponure, gdybym podczas choroby papy mogła tylko jeździć po zakupy ze służącą, a zresztą gdyby nie pan, i tak nie wiedziałabym, dokąd pójść.

— Nie byliśmy jeszcze w Luwrze — przypomniał markiz — ale zostawiam to na deszczowy dzień.

— A jeśli nie będzie padać?

— To oczywiście powinniśmy darować sobie słońce, bo Luwr wzbogaci nasze horyzonty.

Powiedział to w taki sposób, że Vilma się roześmiała. Gdy jechali w kierunku wieży Eiffla, jeszcze niejednokrotnie miała okazję śmiać się ze słów markiza. Było jej miło, że sama również potrafi go rozbawić.

Dochodziła czwarta, gdy zawrócili w stronę Faubourg St. Honore.

— Znalazłem świetne miejsce na dzisiejszą kolację — oznajmił markiz. — Przekona się pani, że jedzenie jest wyśmienite, a restauracja zachowała wystrój sprzed rewolucji.

— Czy pan naprawdę zaprasza mnie znowu na wieczór? — spytała Vilma z wahaniem.

— Byłoby straszne, gdyby pani skazała mnie na samotną kolację, przy której nikt by mnie nie rozśmieszał.

— Zupełnie nie rozumiem, czemu jest pan dla mnie tak miły. Nie jestem taka głupia, żeby nie zdawać sobie sprawy, ile pięknych pań mieszkających w hotelu „Ritz” chętnie poszłoby z panem na kolację.

— Będą sobie musiały poradzić beze mnie — odparł markiz — przecież to jasne, że muszę się panią opiekować.

Rano w parku Bois wśród mężczyzn otaczających powóz Pięknej Otero ujrzał hrabiego Gastona de Foreta. Vilma go nie zauważyła. Markiz dostrzegł, że hrabia zeszywniał, widząc, komu pomachała Piękna Otero. De Foret zaczął nachalnie wpatrywać się w Vilnę. Markiz zaciął konie, wiedząc, że dziewczyna nadal się boi hrabiego. Ucieszył się, że nie spostrzegła jego obecności w parku. Mogli więc bez prze-

szkód kontynuować przejażdżkę po Bois aż do pory lunchu. Obecnie, dojeżdżając do Faubourg St. Honore, markiz zatrzymał powóz przed domem wicehrabiego.

Vilma szukała czegoś w torebce. Kiedy konie stanęły, powiedziała trochę onieśmielona:

— Napisałam liścik, bo chciałam podziękować panu za wczorajszą uprzejmość i gościnność. Ale chyba nie ma sensu wysyłać go do „Ritza”, skoro widzę się z panem... więc proszę.

— Pani pierwszy *billet-doux* — rzekł markiz odruchowo.

Zauważył, że wywołał rumieniec na policzkach Vilmy.

Odparła porywczo:

— To zupełnie nieodpowiednie określenie tego, co chcę powiedzieć.

Służący zeskoczył z kozła, by pomóc jej wsiąść. Weszła po schodach, po czym odwróciła się, by pomachać markizowi. Ten, odjeżdżając, uniósł kapelusz i bardzo ostrożnie poprowadził konie zatłoczoną ulicą w kierunku placu Vendome. Zatrzymał się przed hotelem „Ritz”. Stan-gret podszedł do powozu, by wziąć od niego lejce. Wręczając je, markiz powiedział:

— Podziękuj swemu panu za ten zaprzęg. Przekaż mu, że nie miałem kłopotów z powożeniem tą wspaniałą dwójką koni.

— Będzie mu miło to słyszeć, monsieur — odparł stangret. — Ale jednak ta para nie może się równać z kasztanami należącymi do hrabiego de Foreta.

— A gdzie je widziałeś? — spytał markiz.

— Przed domem, sprzed którego pan odjechał, monsieur. Nie sądziłem, że ich pan nie zauważył.

Markiz wpatrywał się w służącego.

— Przed domem wicehrabiego? — spytał z niedowierzaniem

— Zgadza się. Znam tamtego woźnicę. To on powiedział mi, że pan hrabia kupił te kasztanki dopiero miesiąc temu.

Markiz wyrwał stangretowi lejce.

— Wsiadaj! — krzyknął.

Zawrócił powóz i z dużą prędkością pojechał z powrotem. Już po chwili znalazł się przed domem wicehrabiego. Przekonał się, że służący miał rację. W cieniu drzewa stała wspaniała para kasztanów, a siedzący na koźle woźnica nosił liberię hrabiego de Foreta.

Markiz nie czekał, aż stangret zeskoczy na ziemię. Sam wyskoczył z powozu i gwałtownie szarpnął za dzwonek. Jednocześnie zastukał kołatką do drzwi. Otworzyły je służący. Kiedy markiz wchodził do hallu, usłyszał krzyk Vilmy.

\*

Vilma rozstała się z markizem, ale nadal miała uczucie, jakby przebywała w świecie baśni. Uważała, że spędzili razem cudowne chwile. Park Bois, z eleganckimi kobietami, wspaniałymi końmi i wykwintnymi jeźdźcami, wyglądał jak dekoracja w teatrze Drury Lane. Dziewczyna pomyślała, że nic nie może się równać z pięknem Sekwany, którą miała przed oczami podczas lunchu, ani z wieżą Eiffla, którą widzieli w oddali. Podobała jej się relacja markiza na temat uroczystości związanych z zakończeniem jej budowy.

— Zobaczę go znowu jeszcze dziś wieczorem — powiedziała sobie, gdy odjechał. Weszła do hallu, a lokaj zamknął za nią drzwi.

— Jakiś dżentelmen czeka na panią, mademoiselle — oznajmił.

— Jaki dżentelmen? — spytała, myśląc, że pewnie chodzi o lekarza lub pana Blanca, który chciałby jej opowiedzieć o postępach kuracji.

Nie zastanawiając się dłużej, zdjęła elegancki kapelusz i położyła go na krześle. Lokaj otworzył przed nią drzwi do salonu. Weszła do pokoju, przyglądając sobie włosy i myśląc o nowinach na temat zdrowia ojca.

Na końcu dużego salonu stał mężczyzna, odwrócony w tej chwili do niej tyłem. Doszła do połowy pokoju, gdy uświadomiła sobie, że nie

jest to ani lekarz, ani Pierre Blanc. Gdy podeszła, mężczyzna odwrócił się, a Vilma z przerażeniem stwierdziła, że to hrabia de Foret.

Stanęła jak wryta, myśląc, że wygląda on jeszcze bardziej nieprzyjemnie, niż zapamiętała.

Poczuła się nieswojo, bo byli sami.

— Dzień dobry, mój piękny aniele! — powitała ją hrabia.

— Po co... po co pan tu przyszedł? Jak pan mnie znalazł? — spytała.

— Wymagało to ode mnie trochę pracy detektywistycznej — odparł hrabia — ale oczywiście musiałem zwrócić coś, co zostawiłaś w mojej sypialni.

I pokazał Vilmie parę rękawiczek. Rzeczywiście, zupełnie o nich zapomniała. Gdy markiz poszedł po jej kapelusz, nie poprosiła go również o rękawiczki. A teraz hrabia ją odnalazł. Gdy ponowiła pytanie, jak ją znalazł, odrzekł:

— Cesar Ritz zachował całkowitą dyskrecję i powiedział, że nie ma pojęcia, gdzie mieszkasz, co jak przypuszczam, jest kłamstwem.

— Więc w jaki sposób... — zaczęła Vilma.

— Elektryk, któremu pomogłaś, okazał się bardziej przydatny. Powiedział, skąd został przywieziony żyrandol, a wicehrabia jest, rzecz jasna, moim starym znajomym.

— Dziękuję za odniesienie moich rękawiczek — zdołała wydusić Vilma. — A teraz proszę mi wybaczyć, chcę iść na górę i zobaczyć się z ojcem.

— Nie tak prędko! Może to cię zdziwi, mój aniele, ale nie mogłem przestać myśleć o tobie od chwili, gdy ujrzałem cię w mojej sypialni. Naprawdę, przyśniłaś mi się!

— Trudno w to uwierzyć, monsieur.

— Więc muszę spróbować cię przekonać — powiedział hrabia. — Proponuję, byśmy usiedli, i postaraj się być dla mnie miła.

Rozejrzał się wokół i dodał:

— Widzę, że wygodnie się urządziłaś pod nieobecność wicehrabiego!

Vilma sapnęła. Zrozumiała, że de Foret, podobnie jak markiz, jest przekonany, że ma do czynienia z zawodowym elektrykiem. Hrabia dał jej do zrozumienia, że nadużywa gościnności wicehrabiego, korzystając z najlepszych pokoi podczas jego nieobecności. Pomyślała, że to wyjątkowo obraźliwe.

— Sądzę, że pan mi ubliża. Mogę jedynie prosić, by zostawił mnie pan w spokoju, bo mam inne sprawy na głowie.

— Nie wierzę, że ważniejsze ode mnie — odciął się hrabia. — Chcę ci powiedzieć o wielu rzeczach, które moim zdaniem będą dla ciebie korzystne.



— Nie wyobrażam sobie teraz nic ważniejszego niż odpoczynek — skwitowała Vilma.

Zastanawiała się intensywnie, jak mogłaby się go pozbyć. Wiedziała, że ojciec śpi na górze. Mało prawdopodobne, by wszedł któryś ze służących, bo nie chciałby im przeszkadzać. Ponadto służący zdenerwowaliby się, gdyby próbowali nakłonić hrabiego do wyjścia, a on by odmówił.

Muszę jakoś doprowadzić do tego, unikając sceny — pomyślała Vilma.

Z trudem zmusiła się do nadania głosowi przyjemniejszego brzmienia:

— To bardzo miło, monsieur, że przyniósł mi pan rękawiczki, ale z pewnością pan zrozumie, że jestem zmęczona po długiej przejażdżce i naprawdę muszę odpocząć.

— Może mógłbym odpocząć z tobą? Nie wierzę, że odmówisz mi tej odrobiny wygody, z której sama skorzystasz.

Vilma pomyślała, że on się z nią drażni i żartuje w sposób, którego nie uważała za zabawny. Podeszła do kominka. Położyła rękawiczki na stoliku stojącym obok. Doskonale wiedziała, że hrabia ją obserwuje. Jego oczy miały ten sam wyraz, który już wcześniej ją przestraszył.

— Jesteś śliczna, prześliczna! — powiedział.  
— Od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem stojącą na drabinie, chciałem, byś była moja.

— Pan mnie przeraził — odparła. — Byłam bardzo wdzięczna markizowi, że pomógł mi uciec od pana.

— Niech go diabli! Zawsze wtrąca się w moje sprawy! — wykrzyknął hrabia.

Rozmawiali po francusku i hrabia użył ordynarnego przekleństwa.

Vilma wiedziała, że nie zrobiłby tego, gdyby uważał, że ma do czynienia z kimś z wyższych sfer. Nie odezwała się, a hrabia mówił dalej:

— Posłuchaj mnie uważnie. Chcę, byś była moja, i sprawię, że to się bardzo opłaci. Naprawdę nie będziesz już musiała pracować do końca życia. Jasne?

Vilma wpatrywała się w niego. Przez chwilę nie była w stanie zrozumieć, o czym on mówi. Ale zaraz instynktownie odczuła, że to ją obraża.

Gdy wahała się, jak odpowiedzieć, hrabia podszedł bliżej.

— Nie uda ci się uciec przede mną — powiedział — i wezmę cię w ramiona, bo chciałem tego już w pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem.

Vilma odsunęła się od niego z zadziwiającą szybkością. Chciała dojść do drzwi, ale on stanął na wprost nich. Przesunęła się zatem w bok, stając w pobliżu okna.

— Niech pan odejdzie! — zażądała. — Niech mnie pan zostawi! Nie rozumiem, o czym pan mówi, ale jestem pewna, że pan mnie obraża.

— Czy naprawdę sądzisz, że cię obrażam, jeśli chcę cię tylko pocałować? Obiecuję, że to okaże się bardzo przyjemne i nie będziesz już chciała przede mną uciekać.

. — Ale właśnie to zamierzam zrobić — stanowczo oświadczyła Vilma.

Mówiąc to, skierowała się ku drzwiom, ale hrabia był szybszy. Zastawił jej drogę i wyciągnął ramiona. Po wyrazie jego twarzy i czujności postawy zorientowała się, że w gruncie rzeczy podoba mu się, że podjęła z nim walkę. Chciał skłonić ją do poddania się, by ją zdobyć. Uświadomiła to sobie tak głęboko, że znowu ogarnął ją nagły strach, który odczuła już poprzednio. A bała się tym bardziej, że znajdowali się za zamkniętymi drzwiami. Była pewna, że nikt nie usłyszy jej wołania o pomoc. Zastanawiała się, czy osiągnie coś prośbą.

— Bardzo pana proszę, monsieur... — zaczęła rwącym się głosem, drżąc.

Hrabia przysuwał się do niej powoli, jakby celowo wywołując stan napięcia i rozkoszując się tym. Vilma wiedziała, że chce ją zastraszyć.

— Jesteś moja! — wymruczał i było w tym głosie coś zwierzęcego.

Vilma rozpaczliwie rzuciła się do ucieczki, ale było już za późno. Złapał ją i tak brutalnie przyciągnął do siebie, aż krzyknęła. Przycisnął ją mocno do piersi. Próbował ją pocałować w usta, ale ona gwałtownie odwracała głowę. Była tak przerażona, że zrobiło jej się ciemno przed oczami. Hrabia obejmował ją żelaznym uściskiem.

Obawiała się, że jeszcze kilka sekund, a całkowicie nad nią zapanuje. I właśnie w tym momencie, gdy przyciskał ją tak mocno, że nie mogła złapać tchu, usłyszała pytanie zadane po angielsku:

— Co, u licha, się tu dzieje?

Po raz drugi markiz był jej wybawcą. Hrabia nadal ją trzymał, ale markiz złapał go za ramiona i odepchnął. Potem zadał szybki cios zaciśniętą pięścią. Hrabia upadł, wypuszczając Vilnę, która zachwiała się, lecz utrzymała na nogach. Rzuciła się na oślep w stronę markiza.

— Uderzyłeś mnie, Lynworth — krzyknął hrabia, podnosząc się z podłogi — i na Boga, zapłacisz mi za to!

— Ktoś musiał cię powstrzymać, żebyś nie zachowywał się jak gad! — odparł chłodno markiz.

Hrabia z trudem wstał.

— Żądam satysfakcji! A może jesteś zbyt wielkim tchórzem, by przyjąć to wyzwanie?

— Stanę do walki, gdziekolwiek sobie zazyczysz — odparł spokojnie markiz. — Musisz tylko wyznaczyć miejsce, a dam ci lekcję, której nie zapomnisz.

Hrabia narzucił na siebie płaszcz.

— W porządku — rzekł — i nie obwiniaj mnie, milordzie, za swe cierpienia, mam nadzieję, okrutne!

— Czekam tylko, aż wyznaczy pan miejsce naszego spotkania — powiedział markiz. — Przypuszczam, że jutro w Bois o jakiejś nie-ludzko wczesnej godzinie.

— Przeciwnie, dziś wieczorem o jedenastej u mnie w ogrodzie. Jest oświetlony elektrycznie. Ta kapryśna młoda dziewczyna jest specjalistką w tej dziedzinie.

— Niech pan jej do tego nie miesza — ostrzegł markiz.

— Niemożliwe, zważywszy, że ona jest nagrodą dla zwycięzcy. Co więcej, nalegam, żeby była obecna podczas pojedynku, gdy dam panu nauczkę!

Markiz nie odpowiedział, a hrabia dodał nieprzyjemnym tonem:

— Będę na pana czekał o jedenastej, jeśli oczywiście pan nie stchórzy.

— Może pan na mnie liczyć i sądzę, że postara się pan o sekundantów.

— Oczywiście — zgodził się hrabia.

Poszedł w kierunku drzwi. Potem odwrócił się i spojrzał na Vilnęę.

— Do zobaczenia, mój śliczny aniele! Po jutrzejszym dniu już nikt nie będzie mi stał na przeszkodzie i będziesz moja, tak jak tego od początku pragnę.

Wyszedł z salonu, zatrzasnąkując za sobą drzwi. Dopiero po jego wyjściu Vilna krzyknęła ze strachu i rzuciła się markizowi na szyję.

— Nie wolno się panu z nim pojedynkować, nie wolno! — zawołała. — On jest zły i niegodziwy i chce pana skrzywdzić! Proszę, proszę... niech się pan z nim nie bije... przeze mnie!

Trzymała go kurczowo i zaglądała mu w twarz, a do oczu napłynęły jej łzy wzburzenia. Markiz łagodnie ją objął.

— Czy pani naprawdę sądzi, że pozwolę takiej świni zwyciężyć i zdobyć panią?

Powiedział to tak, jak jeszcze nigdy się do niej nie zwracał. Vilna spojrzała na niego wy czekująco. W tym momencie przytulił ją i pocałował. Zrobił to bardzo delikatnie, wiedząc, że Vilna całuje się po raz pierwszy w życiu. Jej usta drżały. Tak jak się spodziewał, były miękkie, słodkie i niewinne. Poczował, że Vilna lekko dygocze i nieświadomie się do niego przysuwa. Zaczął całować ją śmieiej, bardziej namiętnie i natarczywie.

Vilma miała wrażenie, że otwiera się nad nimi niebo i spowija ich nieziemskie światło. Przed chwilą była tak zszokowana, tak przestraszona groźbami hrabiego pod adresem markiza, że myślała tylko o nim. Bała się, że hrabia naprawdę chce mu zrobić poważną krzywdę. A teraz, czując pocałunki markiza, uświadomiła sobie, że go kocha i że cała przepełniona jest miłością. To uczucie wprawiło ją w stan ekstazy, o jakiej nigdy nie marzyła. Tylko częściowo czuła się tak, podziwiając piękno Sekwany, gwiazdy i plac Zgody i ciesząc się obecnością markiza na spacerze.

Teraz czuła się tak, że nie potrafiła tego opisać. Serce jej waliło i zdawało się, że nawet dusza w niej pulsuje.

Gdy markiz przestał ją całować, zdołała powiedzieć śpiewnym głosem:

— Kocham pana... kocham cię... Nie wiedziałam, że miłość jest czymś takim.

— I ja cię kocham — odparł markiz — ale bałem się do tego przyznać, żeby cię nie przstraszyć, moja śliczna.

— Naprawdę mnie kochasz? Naprawdę?

— Naprawdę jeszcze nigdy nie czułem czegoś takiego do nikogo.

Pocałował ją raz jeszcze, bo nie potrafił znaleźć słów, którymi mógłby wyrazić swe uczucia.

Vilma zrozumiała, że chodzi mu o tajemnicę, o której wcześniej wspominał. Rzeczywiście było to jak „pożar serca”. Ponieważ pokój wirował wokół niej, markiz zaprowadził ją na kanapę. Usiadł i otoczył ją ramieniem.

— Jak możesz być taka piękna i taka inna, że trudno to opisać? — spytał.

Vilma położyła mu głowę na ramieniu.

— Nie wiedziałam, że miłość może być tak cudowna — wyszeptła.

— Nauczę cię wszystkiego, najdroższa, i będzie to najwspanialsza rzecz, jaką zrobiłem w życiu.

Cała drżąc, odpowiedziała gorączkowo:

— Nie wolno ci pojedynkować się z tym okropnym człowiekiem! Wiem, że zamierza cię okaleczyć, a może nawet zabić!

— To sprawa honoru, najdroższa — odrzekł markiz — muszę przyjąć to wyzwanie.

Pocałował ją w czoło i powiedział:

— Zapewniam cię, że nie boję się tego typka. Jeśli będzie miał rękę na temblaku przez następne dwa miesiące, to sam będzie sobie winien!

Vilma wpatrywała się w niego.

— Proszę, ucieknijmy stąd i zapomnijmy o nim — błagała.

— Marzę, żeby uciec gdzieś z *tobą*, *ale najpierw* muszę zachować się jak na dżentelmena



przystało, a przy tym dać tej świni lekcję, którą zapamięta do końca życia.

— Ale... proszę — zaczęła Vilma.

Markiz zamknął jej usta pocałunkiem. Nie potrafiła już o niczym myśleć. Słyszała tylko anielskie chóry i miała wrażenie, że oboje są w niebie.

scandalous

Znacznie później markiz powiedział:

— Muszę się przebrać, najdroższa, i zabiorę cię na kolację. Myślę, że oboje nabraliśmy apetytu na coś dobrego.

Vilma wzdrygnęła się lekko. Nie mogła nic poradzić na to, że bała się, iż może po raz ostatni są razem. Markiz znowu ją pocałował. W końcu wstał z kanapy, a ona nie protestowała. Myślała tylko o tym, jaki jest przystojny i jak bardzo go kocha.

Skierował się ku drzwiom i rzekł:

— Przyjdę po ciebie o dziewiątej i będę liczył minuty, najdroższa, aż znów będę mógł cię pocałować.

Zobaczył, że jej oczy rozbłyły, jakby odbiło się w nich słońce. Zmusił się do wyjścia z salonu i zamknął za sobą drzwi.

Vilma dotknęła dłońmi policzków. Czy to możliwe? Czy naprawdę markiz kocha ją tak jak ona jego? To wszystko nastąpiło tak szybko. Z trudem przekonywała samą siebie, że jest w Paryżu, że to nie sen, z którego obudzi się u siebie w Londynie.

Poszła na górę zobaczyć ojca, ale nie zamierzała mówić mu, co się stało. Wiedziała, że zawsze podobały mu się konie markiza. Poza tym czuła, że byłby zadowolony, że spotkała mężczyznę, którego naprawdę z wzajemnością pokochała. Ale w tej chwili nie mogła rozmawiać o tym z nikim. Miało to zbyt dużą wartość, jak drogi cenny klejnot.

Przed pokojem ojca czekał Herbert.

— Spóźniła się panienka — zauważył. — Jego lordowska mość... to znaczy pułkownik czekał na panią, ale zasnął. Wstyd byłoby mu przeszkadzać, chociaż czuje się znacznie lepiej.

— Cieszę się — powiedziała Vilma. — Oczywiście nie będę budzić papy, skoro śpi.

— Zasnął, jak zapowiedział ten Francuzik — odparł Herbert. — Gdy kuracja się skończy, będzie mknął z prędkością światła.

Vilma roześmiała się i weszła do swego pokoju. Otworzyła szafę i stała, przyglądając się sukniom. Zastanawiała się, która jest tak piękna, że warto ją włożyć na najwspanialszy wieczór

w życiu. Potem przypomniała sobie, co ma nastąpić o jedenastej. Natychmiast wrócił lęk. Ukłękła obok łóżka. Modliła się gorąco, by markizowi nic się nie stało. Niewiele wiedziała na temat pojedynków poza tym, że w Anglii zostały zakazane przez królową Wiktorię. Krażyły jednak słuchy, że nadal odbywają się potajemnie. Czasem któryś z uczestników odnosił poważne obrażenia.

Boże, proszę, bardzo proszę, niech to będzie hrabia, a nie markiz — modliła się Vilma, dopóki nie usłyszała pukania do drzwi. Wiedziała, że Marie przysłała pomóc jej się ubrać.

— Kucharz chciałby wiedzieć, czy mademoiselle będzie na kolacji — rzekła służąca.

— Nie, wychodzę. Ale jeśli ojciec będzie jadł coś o ósmej, usiądę wraz z nim do stołu.

— Myślę, że o wpół do dziewiątej — odparła Marie.

— Zatem zjem wraz z nim — zdecydowała się Vilma.

Marie zajęła się przygotowaniem kąpieli dla panienki. Służący przyniósł dzbanki z gorącą wodą, a przed kominkiem, w którym się nie paliło, postawiono wannę. Vilma moczyła się pewien czas w pachnącej wodzie. Nie musiała się spieszyć, więc po kąpieli ubierała się pomału. Długo czesała włosy i w końcu wybrała wytworną suknię, która się jej najbardziej podobała.

Była kupiona specjalnie z myślą o najważniejszych balach, w których Vilma miała uczestniczyć w Londynie. Wyjeżdżając z ojcem za granicę, zapomniała jednak zabrać większości nowych sukien.

Podczas toalety Vilma myślała, jak bardzo chciałaby zatańczyć z markizem. Najbardziej pragnęła, by trzymał ją w ramionach i całował.

Kocham go! Kocham go! — powtarzała swemu odbiciu w lustrze.

Kiedy weszła do sypialni ojca, on już nie spał. Nie zauważył jednak, że jest ubrana o wiele starszanniej niż zwykle. Nie spytał też, gdzie się wybiera na kolację. Powiedział tylko, że czuje się lepiej, ale jest bardzo zmęczony.

— Ale plecy już mnie nie boją, a to najważniejsze! — powiedział.

— Och, papo, tak się cieszę! — wykrzyknęła Vilma. — Wkrótce znów będziesz jeździł konno.

— Złamię tego konia, nawet jeśli miałby mnie zabić! — wymruczał lord.

— Z pewnością pan Blanc nie chce, byś na początku dosiadał jakiegoś niesfornego rumaka — zaczęła Vilma, ale uświadomiła sobie, że ojciec jej nie słucha. Była pewna, że niezależnie od tego, co powie, ojciec i tak zrobi dokładnie to, na co ma ochotę. Zanim skończył jeść, prawie za-

snał. Pocałowała go czule. Tak jak chciała, mogła mu później opowiedzieć o tym, co zaszło.

Potem przestraszyła się, że ojciec nie pozwoliłby jej być świadkiem pojedynku. Wiedziała, że coś takiego nie mogłoby się jej przydarzyć w Londynie. Tamtejsze towarzystwo przeżyłoby szok, gdyby się dowiedziało, że oglądała pojedynek dwóch mężczyzn, którzy się o nią bili. Nikt jednak w Paryżu nie wiedział, że to o nią chodzi. Co więcej, markiz i hrabia znali tylko jej przybrane nazwisko i uważali, że jest córką elektryka. Uśmiechnęła się do tej myśli.

Nie miała wątpliwości, że markiz będzie zadowolony, gdy wyjawi mu, kim jest naprawdę.

Kocha mnie dla mnie samej, a zawsze się obawiałam, że może tak nie być — pomyślała.

W Londynie szacowne wdowy przedstawiały ją swoim synom, wiedząc, że jest córką bardzo zamożnego lorda. Była zbyt bystra, by nie dostrzec tego już na pierwszym balu. Niektórzy nieopierzeni młodzieńcy tańczyli z nią nie ze względu na jej urodę, lecz dlatego, że była lady Vilną Dale.

Po pojedynku powiem markizowi, kim naprawdę jestem — postanowiła.

Z trudem doczekała do umówionej godziny. Gdy tylko jeden z zegarów w hallu wybił dziewiątą, usłyszała turkot kół przed drzwiami.

Wzięła aksamitny szal leżący na krześle i zarzuciła sobie na ramiona. Gdy markiz wszedł do hallu, wyszła mu naprzeciw.

— Wiedziałem, że nie będę musiał na ciebie czekać — rzekł z uśmiechem.

Chwycił ją za rękę, sprowadził ze schodów i pomógł wsiąść do powozu.

Gdy konie ruszyły, objął ją ramieniem.

— Wydaje mi się, że wiek minął, odkąd cię całowałem — powiedział i pocałował ją namiętnie.

Świat przestał istnieć. Liczył się tylko on i miłość, którą do niego czuła.

Niewielka restauracja „Grand Vefour” okazała się jeszcze bardziej atrakcyjna, niż Vilma oczekiwała. Znajdowała się w Palais Royal i działała tu jeszcze przed rewolucją. Miała olbrzymie okna i ściany pięknie pomalowane w kwiatowe wzory. Umeblowano ją wygodnymi czerwonymi kanapkami przeznaczonymi dla gości. W tej chwili tylko kilka osób jadło tu kolację. Vilma zdała się na markiza przy wyborze potraw i gatunku szampana. Gdy tylko kelner odszedł, markiz położył dłoń na jej ręce, mówiąc:

— W końcu jesteśmy sami. Mam ci tyle do powiedzenia, kochanie. Ale najpierw pozwól sobie powiedzieć, że wyglądasz jeszcze piękniej niż kilka godzin temu, gdy się rozstaliśmy.

Jego wzrok sprawił, że Vilnę przebiegł lekki dreszcz, a dłonie zdrząły.

— Jesteś śliczniejsza, niż mogłem to sobie wyobrazić. Czasem myślę, że może tylko mi się przyśniłaś.

— To samo czułam dziś wieczorem — odparła Vilma. — Bałam się, że się obudzę i okaże się, że nie jestem w Paryżu, ale w Londynie, i że byłęś tylko snem.

— Jestem z krwi i kości — rzekł z uśmiechem markiz — i przekonam cię o tym później.

Kolacja była wyśmienita, ale Vilma nie bardzo wiedziała, co je. Wiedziała tylko, że szare oczy markiza wpatrują się w nią z miłością. Wszystko, co mówił, wydawało jej się nadzwyczajne i godne zapamiętania.

Po kolacji przyniesiono kawę i kieliszek koniaku dla markiza.

— Chcę z tobą poważnie porozmawiać, moja śliczna — zagaił.

Vilma spojrzała na niego.

— Gdyby stało mi się dziś w nocy coś złego, zostawiam Willy'emu, który jest moim sługą, znaczną sumę pieniędzy dla ciebie. Wie o tym Cesar Ritz.

Vilma cicho krzyknęła.

— Nie mów w ten sposób! Jak możesz przypuścić, nawet przez chwilę, że... mógłbyś zginąć?



— Musimy to wziąć pod uwagę — odparł markiz. — To się może zdarzyć, a ja nie mogę ścierpieć myśli, że musisz zarabiać na życie i jesteś zmuszona brać pieniądze od ludzi pokroju hrabiego.

Vilma patrzyła na niego, nie rozumiejąc. Potem markiz powiedział dziwnym głosem:

— Kocham cię! Czuję, że cię kocham najbardziej ze wszystkich kobiet, które spotkałem w życiu, ale nie mogę się z tobą ożenić!

Vilma wstrzymała oddech. Nigdy nie przypuszczała, że mógłby powiedzieć coś takiego.

— Najbardziej ze wszystkiego pragnąłbym uczynić cię moją żoną — ciągnął markiz — i sam Bóg wie, że chciałbym, żebyś zawsze była ze mną, ale to niemożliwe!

Vilma nadal milczała. Mogła jedynie patrzeć na niego, nie wierząc własnym uszom.

— Przyjechałem do Paryża, ponieważ matka zaplanowała moje małżeństwo z księżniczką Helgą z Wittenbergi.

Przerwał na chwilę i gwałtownie mówił dalej:

— Nie znam jej. Widziałem ją tylko raz, gdy była dzieckiem, i wcale nie zamierzałem poślubić ani jej, ani kogokolwiek innego — aż spotkałem ciebie. Jednak księżniczka dostała zaproszenie do Anglii i znalazłem się w sytuacji, w której nie mogę nie poprosić jej o rękę.

W głosie markiza brzmiała rozpacz. Vilma nie potrafiła wykrztusić z siebie słowa. Patrzyła tylko na niego, myśląc, że to nie może być prawda. Zapadło długie milczenie.

Potem ledwie słyszalnym głosem, pochodzącym jakby z bardzo daleka, Vilma spytała:

— Czy chcesz mi powiedzieć, że dzisiejszego wieczoru widzę cię po raz ostatni?

— Oczywiście, że nie — odparł szybko markiz. — Mówię, że cię kocham i chcę, byś była częścią mego życia. Nie mogę cię stracić.

Z pewnym rozdrażnieniem mówił dalej:

— Pragnę cię bardzo mocno, ale to niemożliwe, byśmy byli cały czas razem.

Wziął ją za rękę i powiedział:

— Jakoś to urządzę, byś mogła być blisko mnie, zarówno w Londynie, jak i na wsi...

— Przerwał i uśmiechnął się do niej. — Od czasu do czasu uda nam się wyskoczyć do Paryża lub gdzie indziej, gdzie nam się spodoba. Proszę cię tylko, byś mi zaufała i kochała mnie tak jak ja ciebie.

Powoli do Vilmy zaczął docierać sens jego prośby. Czuła się tak, jakby ziemia uciekała jej spod nóg i jakby wpadała w ciemną otchłań. Serce bolało ją tak, jakby miała umrzeć. Wyglądała, jakby popadła w częściowy paraliż. Nie chciała uwierzyć, że to co słyszy, może być prawdą.

— Będziemy szczęśliwi, wiem, że będziemy szczęśliwi! — powiedział markiz dość gwałtownie. — Jestem pewien, moja śliczna, że nigdy nie pożałujesz, że pozwoliłaś mi się sobą zaopiekować i chronić przed ludźmi takimi jak hrabia.

Vilmie przyszło do głowy, że markiz proponował właściwie to samo co hrabia. Spytała drżącym głosem:

— Czy naprawdę nie możesz się ze mną ożenić, bo... nie jestem ciebie warta?

— To nie tak — zaprotestował markiz. — Jesteś zbyt dobra, zbyt piękna, zbyt czysta dla jakiegokolwiek mężczyzny. Ale ja jako senior rodu mam obowiązek poślubienia kogoś, kto ma błękitną krew. Nie mogę obniżyć rangi nazwiska, które jest znane i szanowane od wieków.

Vilma zacisnęła mocno usta. Pomyślała, że powinna wstać i wyjść. On ma swoją godność, a ona swoją. Jednak wiedziała, że nie może tego zrobić w tej szczególnej chwili, gdy markiz ma się zaraz pojedynkować o nią z hrabią. Gdyby go bowiem zdenerwowała, mógłby źle strzelać. A gdyby zginął, byłaby to jej wina. Powiedziała więc sobie, że musi zachować milczenie.

— Porozmawiamy o tym jutro — zaproponował markiz. — Czas mija, a muszę przywieźć przyjaciela, który się zgodził być moim sekundan-tem. Ty go nie znasz i on nie zna ciebie — do-

dał, jakby się spodziewał, że o to spyta. — Przyjechał właśnie z Rzymu. Pracował tam w naszej ambasadzie przez ponad dwa lata.

— Czy on nie będzie opowiadał o tym, co się zdarzyło? — zdołała wydusić z siebie Vilma.

Markiz pokręcił głową.

— Peter będzie dyskretny nie tylko ze względu na praktykę w dyplomacji, ale i dlatego, że zawsze byliśmy bliskimi przyjaciółmi.

Mówiąc to, markiz dał znak kelnerowi, by przyniósł rachunek. Gdy załatwił tę sprawę, wstał i okrył ramiona Vilmy aksamitnym szalem. Wyszli z restauracji i podeszli do oczekującego w pobliżu powozu. Po drodze Vilma czuła, że markiz ją obejmuje. Po raz pierwszy miała ochotę go odepchnąć. Nie chciała, by ją całował. Uznała, że zdradził uczucie, którym go obdarzyła. Pomyslała sobie, że gdyby sytuacja była odwrotna i to on był jakimś zwykłym pracownikiem, nie miałyby to dla niej znaczenia. Kochałaby go tak samo jak teraz.

Jednak zdrowy rozsądek podpowiedział jej, że nie mogłoby być tak samo. Jej rodzina użyłaby wszelkich środków, by powstrzymać ją od małżeństwa z kimś stojącym niżej na drabinie społecznej. I chociaż markiz nie powiedział tego, wiedziała, że jego rodzina postąpiłaby podobnie. Przecież na narzeczoną wybrali dla nie-

go książniczkę krwi. Byłoby nieprawdopodobne, by zaakceptowali w tej roli córkę elektryka, pracującą dla Cesara Ritza, nawet gdyby markiz ich błagał.

Markiz przysunął się bliżej.

— Nie bój się, kochanie — powiedział — ani nie martw o mnie. Zapewniam cię, że potrafię o siebie dbać, i gdy już ta niemiła historia będzie za nami, szybko o niej zapomnimy i będziemy tak szczęśliwi jak dziś po południu.

Vilma była tak przejęta pojedynkiem, że na pewien czas zapomniała o sobie.

— Będziesz ostrożny... bardzo ostrożny i nie będziesz zanadto ryzykował, prawda? — rzekła błagalnie.

— Zawsze jest pewne ryzyko, gdy ktoś staje do pojedynku — odparł markiz. — Ale pochlebiam sobie, że dobrze władam szpadą, z pewnością lepiej niż de Foret, który prowadzi wyjątkowo utracjuszowski tryb życia.

Vilma miała nadzieję, że to prawda. Wiedziała jednak, że hrabia będzie walczył niczym rozwścieczony tygrys, jak go kiedyś określił markiz.

— On cię nienawidzi! — krzyknęła. — I jestem pewna, że chce ci zrobić krzywdę.

— Nie denerwuj się — uspokajał ją markiz. — Wszystko w rękach losu, a mnie oczywiście

będą wspierać twoje modlitwy i uchronią od zła.

— Będę się modliła... dobrze wiesz, że będę się modliła. Przecież hrabia uosabia zło, czuję, że płyną od niego złe wibracje.

Chciała powiedzieć znacznie więcej, ale markiz przytulił ją do siebie i pocałował. Puścił ją dopiero wtedy, gdy konie stanęły przed hotelem „Ritz”.

— Czekaj tu na mnie Peter — wyjaśnił markiz. — Nazywa się Hampton, a jego ojciec jest kanclerzem Izby Lordów.

Pod koniec jego wypowiedzi otworzyły się drzwi powozu. Zanim markiz zdążył wysiąść, do środka wskoczył wysoki, bardzo przystojny młody mężczyzna.

— Wypatruję cię, Vernonie — powiedział — bo już czas.

— A zatem jesteśmy — odparł markiz. — Pozwól, że cię przedstawię Vilmie Crawshaw.

Peter Hampton zajął miejsce naprzeciw nich i wyciągnął rękę. Kiedy Vilma uściśnęła ją, nabrała pewności, że ma do czynienia ze szczerym człowiekiem, na którym można polegać.

— Upredziłem Petera, że wbrew wszelkim zasadom zostałam zaproszona na pojedynek. Mój przeciwnik bardzo nalegał, byś była obecna.

— Lepsze to niż siedzenie w domu i snucie domysłów, co się tam dzieje — mruknęła Vilma.

— Zgadzam się z panią — rzekł Peter Hampton. — Zamierzam bacznie obserwować de Foreta. Krążą o nim nieciekawe opowieści. Po jego ostatnim pojedynku przeciwnik kilka miesięcy walczył o życie.

Vilma krzyknęła ze zgrozy, a markiz powiedział pośpiesznie:

— Nie strasz Vilmy! I tak jest bardzo zdenerwowana całą tą historią.

— Nie dziwię się — odparł Hampton — i będę cię strzegł jak najpilniej.

Powiedział to ze śmiechem w głosie, jakby kpił sobie z konieczności niańczenia takiego silnego mężczyzny. Korzystając z ciemności panujących w powozie, Vilma wsunęła dłoń w rękę markiza, a on zamknął ją w uścisku.

Konie wkrótce zajęły przed dom de Foreta, znajdujący się tuż przy Champs Elysees. Była to reprezentacyjna rezydencja okolona drzewami. Gdy weszli przez żeliwną bramę, Vilma ujrzała rozległy ogród. Aż dotąd nie zauważyła, że przed „Ritzem”, gdzie dołączył do nich Peter, jakiś mężczyzna dosiadł się do woźnicy siedzącego na koźle. Pomyślała, że wygląda na służącego, i nie zdziwiła się, gdy markiz wyjaśnił:

— To Barker, którego pamiętam od dziecka i który jest zagorzałym przeciwnikiem pojedynków.

— Tak jest, milordzie — przytaknął Barker.  
— I jak już mówiłem, to wielki błąd, że jego lordowska mość bierze udział w czymś takim.

Vilmie przyszło do głowy, że powiedział to tonem gderliwej niani.

Markiz roześmiał się i odparł:

— Barker zawsze przewiduje najgorsze. Gdyby to tylko od niego zależało, zostałbym owinięty w watę i umieszczony w gablotce.

— Miejsce w sam raz dla ciebie — odciął się Peter Hampton. — Ale gdzież nasz gospodarz?

Służący, mówiący bełkotliwie po francusku, poprosił, by poszli za nim. Nie zaprowadził ich jednak do domu, lecz poprowadził obok niego. Na tyłach budynku było jeszcze więcej drzew i dużo kwitnących krzewów. W ich otoczeniu znajdował się duży trawnik, służący — jak się domyśliła Vilma — do gry w kule. Rzeczywiście to miejsce znakomicie się nadawało do stoczenia pojedynku. Krzewy i drzewa zasłaniały je przed wzrokiem osób znajdujących się w domu. Na drugim końcu trawnika Vilma dostrzegła hrabiego w otoczeniu trzech mężczyzn. Gdy szła w jego kierunku wraz z markizem, czuła na sobie spojrzenie hrabiego. Coraz mocniej go nienawidziła. Chciała go jakoś zranić i powiedzieć mu coś nieprzyjemnego. Jednak ani ona, ani Peter nie zbliżyli się do niego,



lecz zatrzymali, a markiz poszedł dalej sam. Stali, obserwując markiza, za którym podążał Barker.

W tej chwili zapaliły się elektryczne latarnie. Vilma przekonała się, że cały plac do gry jest znakomicie oświetlony. Nie było tam zbyt jaskrawych lamp, które mogłyby kogoś oślepić. Cały trawnik był tak jasny jak za dnia, a reszta pozostawała w cieniu. Vilma zaobserwowała, że Peter Hampton przygląda się temu z zainteresowaniem.

Markiz przywitał się ze starszym mężczyzną, który jak sądziła Vilma, był zapewne sędzią, a następnie wrócił do nich.

— Oni chcą zacząć tak szybko, jak tylko możliwe, i to mi odpowiada — oznajmił.

Hrabia nie wykonał żadnego kroku w stronę Vilmy i Petera. Natomiast sędzia przywitał się z nimi, a potem poszedł na środek trawnika. Leżały tam dwa pistolety. Sędzia poprosił markiza, by wybrał jeden z nich. Markiz nie spieszył się i uważnie po kolei sprawdzał broń. W końcu podał wybrany pistolet Peterowi, a sam zdjął płaszcz. Sędzia poprosił Vilme, by usiadła na krześle stojącym tuż za nim.

— To niezwykle, mademoiselle, że dama jest obecna przy tego typu wydarzeniu — rzekł cicho.

— Wiem — odparła Vilma — ale nie mogłam odmówić, a mówiąc szczerze, również nie chciałam.

Sympatycznie wyglądający sędzia uśmiechnął się do niej.

— Szkoda, że nie spotykamy się w przyjemniejszych okolicznościach — powiedział szarmancko.

Vilma patrzyła na markiza i Petera, którzy po cichu ze sobą rozmawiali. Potem, spoglądając na przeciwległy koniec placu do gry, który właśnie opuścili, zdała sobie sprawę, że hrabia ma na sobie czarną koszulę. Przemknęło jej przez myśl, że ktoś kiedyś mówił, iż uczestnicy pojedynku, którym brakuje pewności siebie, noszą nierzucające się w oczy ubrania. Natomiast markiz oczywiście nie zmienił stroju po kolacji. Biel jego koszuli odcinała się wyraźnie od pogrążonych w ciemności krzewów.

Vilma, patrząc na niego, poczuła dreszcz niepokoju.

— Czy pan jest gotów, monsieur? — sędzia zwrócił się do markiza.

— Jestem gotowy! — spokojnie odparł markiz.

Mówiąc to, minął sędziego, podszedł do Vilmy i podniósł do ust jej dłoń.

— Kocham cię! — powiedział cicho.

Usiłowała powstrzymać drzenie i nie mogła wykrztusić słowa. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem markiz odszedł i stanął na wprost sędziego. Hrabia zrobił to samo.

W tym czasie jego dwaj młodzi sekundanci ruszyli w kierunku przeciwległego końca placu.

Dwaj rywale stali przed sędzią, który spokojnie wyjaśniał:

— Macie stać plecami do siebie, dopóki nie dam rozkazu, by iść naprzód. Będziecie posuwać się w przeciwnych kierunkach krok po kroku, licząc do dziesięciu. Na „dziesięć” możecie się odwrócić i oddać strzał. — Przerwał na chwilę i dodał: — Nie możecie celować w głowę przeciwnika.

Mężczyźni stanęli plecami do siebie. Markiz był o głowę wyższy od hrabiego i wyglądał na silniejszego i zwinniejszego.

Sędzia dał hasło i zaczęli iść. Vilma nie potrafiła usiedzieć i zerwała się na równe nogi.

Sędzia zaczął odliczać: „Raz — dwa — trzy...”, a ona wpatrywała się w markiza. W tym momencie nasunęła się jej myśl, zupełnie jakby ktoś jej to podpowiedział, że powinna obserwować hrabiego. Wyglądał bardzo groźnie w czarnej koszuli i z czarną jedwabną chustką na szyi.

— Pięć — sześć — siedem... — odliczał sędzia.

Hrabia i markiz doszli już niemal do przeciwnych krańców placu.

— Dziewięć! — zawołał sędzia.

W tym momencie Vilma ujrzała, że hrabia się odwraca. Krzyknęła. Jej krzyk rozległ się w ciszy tak przeraźliwie, że markiz się odwrócił. W tym właśnie ułamku sekundy zobaczył, że hrabia celuje w niego, więc strzelił. Rewolwer hrabiego wypalił niemal w tym samym momencie.

Markiz uchylił się nieco w stronę, skąd dobiegał krzyk Vilmy. Hrabia najwyraźniej celował mu w plecy. Kula trafiła w jego uniesione ramię, rozrywając biały jedwab koszuli.

Vilma zaczęła biec ku niemu. Dobiegła, gdy lewą ręką zakrył ranę. Krew poplamiała mu ubranie.

— To hańba! — głośno podsumował sprawę sędzia.

— Co za obrzydliwy oszust! — wybuchnął gniewem Peter Hampton, dobiegając do markiza. — Odwrócił się na dziewięć!

— Wiem — odparł markiz — ale Vilma mnie uratowała.

Służący Barker nie odezwał się słowem. Wydobył z kieszeni bandaż i kłęb waty i natychmiast zaopiekował się swym panem.

— Niech pan lepiej usiądzie, milordzie — doradził.

— Nic mi nie jest — odrzekł markiz — dzięki Bogu to tylko draśnięcie.

Mówiąc to, spojrział w przeciwną stronę placu. Vilma i Peter w milczeniu skierowali wzrok w tę samą stronę. Zobaczyli, że hrabia leży na trawie. Pochylali się nad nim jego dwaj sekundanci. Peter Hampton stwierdził:

— Musiałeś go postrzelić, Vernonie.

— Mam nadzieję — odpowiedział markiz.

— Już wcześniej słyszałem, że ten człowiek to oszust, ale nigdy nie sądziłem, że może tak wyraźnie to udowodnić.

— Zapewne trafiłeś go w pierś — rzekł Peter Hampton. — Pójdę sprawdzić.

Gdy odszedł, Vilma zobaczyła, że markiz się lekko zachwiał. Wśród krzewów była dyskretnie ukryta drewniana ławka. Niewątpliwie służyła graczom w kule.

— Chodź tu i usiądź. Nawet niewielka rana może spowodować wstrząs.

— Ma pani całkowitą rację, panienko — powiedział służący. — A jego lordowska wysokość stracił dużo krwi.

Rzeczywiście, przesiąkała już przez tampon i bandaż. Ponieważ markiz czuł się dość słabo, pozwolił Vilmie zaprowadzić się w stronę ławki.

Usiadł, a służący przygotował kolejny opatrunek, by zastąpić przesiąkniętą krwią. Vilma nic nie mówiła, tylko trzymała rannego za rękę. Markiz patrzył na koniec boiska, gdzie stał Peter. Po kilku chwilach młody Hampton wrócił, podnosząc po drodze leżący na trawie płaszcz markiza. Vernon przyjrzał mu się badawczo.

— Postrzeliłeś go poniżej ramienia — wyjaśnił Peter — jest w kiepskim stanie. Tamci chcą zawieźć go do domu i sprowadzić lekarza.

Markiz nic nie powiedział, pokiwał tylko głową.

— Jeśli chcesz znać moje zdanie — ciągnął Peter — on celowo nie zapewnił obecności lekarza podczas pojedynku, bo gdyby ci strzelił w plecy, tak jak zamierzał, z pewnością padłbyś trupem.

— Myślę, że powinienem pojechać do domu. Lepiej wezwij lekarza, bo może trzeba będzie zszyć tę ranę — powiedział markiz.

Vilma widziała, że gra zucha, ale jest bardzo błady. Najwyraźniej zaczął dochodzić do głosu szok pourazowy. Nie prosił jednak o pomoc. Kiedy szli w stronę powozu, Vilma zorientowała się, że markiz tylko najwyższym wysiłkiem woli trzymać się na nogach. Wsiadli i Peter wydał polecenia woźnicy.

— Kazałem mu zatrzymać się przed ambasadą brytyjską — wyjaśnił. — Wiem, że lekarz,

który opiekuje się ambasadorem, przyjedzie zaraz do ciebie.

— Mam nadzieję, że potrafi trzymać język za zębami. Nie chciałbym, by w tę sprawę została zamieszana panna Crawshaw — rzekł markiz.

— Oczywiście — przytaknął Peter — daję słowo, że możesz mu zaufać.

Niedługo dojechali do hotelu „Ritz”. Markiz był już niemal przezroczysty i nie mógł ustać na nogach. Służący nalegał, by się na nim oparł i ukrył krwawiące ramię pod narzuconym na nie płaszczem.

Potem tak szybko, jak to było możliwe, ruszyli w stronę schodów.

— Weź powóz, Peter, i odwieź pannę Crawshaw do domu — poprosił markiz, zanim przekroczył próg hotelu.

Vilma milczała. Bała się, że będą chcieli odwieźć ją pierwszą i nie dowie się, jaka jest diagnoza lekarza.

Kiedy dotarli do apartamentu markiza, Vilma czekała w salonie, aż służący rozbierze go i położy do łóżka.

Nie mogła usiedzieć spokojnie, chodziła w tę i z powrotem. Modliła się żarliwie, by zbyt mocno nie cierpiał. Wiedziała, że tego typu rany mogą wywołać zakażenie i spowodować wyso-

ką gorączkę. Zanim przyszedł po nią służący, by powiedzieć, że markiz leży już w łóżku, pojawił się Peter Hampton. Przyproceedził z sobą lekarza. Był to starszy mężczyzna, wyglądający na bardzo kompetentnego. Peter Hampton przedstawił ich sobie, po czym medyk wszedł do sypialni markiza.

Vilmie wydawało się, że minęły godziny, zanim pojawił się Peter, mówiąc:

— Wszystko w porządku. Rana nie jest tak niebezpieczna, jak się obawialiśmy, ale Vernon stracił dużo krwi i będzie się źle czuł przez dzień lub dwa.

Vilma westchnęła z ulgą.

— Z pewnością teraz potrzebuje spokoju, więc może byłby pan tak dobry i zawiózł mnie do domu.

— Właśnie zamierzałem to zaproponować. Może chciałaby pani najpierw powiedzieć dobranoc Vernonowi?

Vilma niczego bardziej nie pragnęła. Jednak uświadomiła sobie, że lekarz przybyły z ambasady byłby zgorszony jej odwiedzinami w męskiej sypialni.

— Jeśli wróci pan później do niego, proszę przekazać mu moje najlepsze życzenia szybkiego powrotu do zdrowia — powiedziała.

Peter Hampton uśmiechnął się do niej.



— Oczywiście, tak zrobię i jestem pewien, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin Vernon odzyska dawną formę.

Otworzył drzwi wyjściowe. Vilma spojrzała na zamkniętą sypialnię markiza i powiedziała w myślach: Do widzenia, najdroższy.

scandalous

## 7.

Po powrocie do domu Vilma poszła wprost do sypialni, gdzie czekała na nią Marie. Kobieta nie zadawała żadnych pytań i Vilma milczała aż do chwili, gdy służąca życzyła jej dobrej nocy.

— *Bon nuit*, Marie — odpowiedziała Vilma.

Gdy Marie zamknęła za sobą drzwi, Vilma rzuciła się na poduszki. Próbowała zrozumieć, co się zdarzyło. Uświadomiła sobie, że oznacza to dla niej prawdziwy koniec świata. Odczuwała głęboki wstrząs spowodowany słowami markiza, iż nie może się z nią ożenić, nie tylko dlatego, że ma zostać mężem księżniczki Helgi, ale też dlatego, że nie dorównuje mu urodzeniem. Jak on mógł nie zorientować się, że ona po prostu nie może być córką najlepszego nawet rzemieślnika!

Myślała też o tym, jak uchroniła go od śmierci z rąk hrabiego. W końcu stwierdziła, że przekonująco grała swoją rolę, chociaż początkowo traktowała ją jak zabawę. Ta gra zamieniła się stopniowo w baśń, ale teraz dobiegła już końca. Łzy wolno wypłynęły jej z oczu i toczyły się po policzkach. Ciężar, który czuła w piersiach i który powodował, że nie reagowała na to, co się dzieje wokół, zaczął w końcu powoli ustępować. Wtedy zdała sobie sprawę, że utraciła markiza. Miłość, która spadła na nią jak grom z jasnego nieba, była tylko częścią snu.

— Kocham go, kocham — powtarzała, szlochając.

Jej życie już nie będzie takie jak dawniej. Tak wspaniale było co dzień widywać się z markizem, rozmawiać z nim sam na sam podczas obiadu czy kolacji, jeździć na przejażdżki do Bois albo oglądać Paryż nocą!

Dla niego było to czymś zwyczajnym, ale ona czuła się jak w raju. Tak właśnie wyobrażała sobie miłość. Ale miłość, jaką obdarzyła markiza, nie była takim uczuciem, jakim on ją obdarzył. Odtwarzając sobie w myślach ich rozmowy, doszła do wniosku, że markiz postawił ją w jednym szeregu z „Piękną Otero”. A przecież ojciec zabraniał jej nawet wymawiać jej imienia. Hrabia myślał o niej w ten sam sposób.

Po raz pierwszy zrozumiała całą potworność pojedynku, w którym dwaj mężczyźni walczyli o to, by jeden z nich mógł ją pojąć.

— Jak mogłam do tego dopuścić? Jak mogłam pójść się temu przyglądać?

Kiedy mówili, że będą bić się o nią, Vilma w swej niewinności nie rozumiała wówczas, co naprawdę mają na myśli. Jednak markiz już dokładnie to wyjaśnił. Chciał, by została jego kochanką, gdy się ożeni z inną kobietą. Kiedy tak płakała bez końca, czuła, że popada w skrajne przygnębienie.

Już nigdy nie będzie czysta i przyzwoita, ale zbrukana i poniżona całą tą sprawą.

To wyłącznie moja wina... Powinnam była powiedzieć markizowi, gdy tylko mnie wybawił z rąk hrabiego, że nie jestem fachowcem od elektryczności — myślała Vilma, płacząc.

Przypomniała sobie, że niania jej zawsze mówiła, iż jedno kłamstwo pociąga za sobą drugie. A ona pozwoliła mu uwierzyć, że pomaga ojcu w instalacji elektrycznego oświetlenia w domu wicehrabiego.

Płakała tak długo, aż poczuła się całkiem wyczerpana. Zasnęła dopiero, gdy zaczęło świtać. Nie miała pojęcia, że Marie zagląda do pokoju i wycofuje się, nie budząc jej.

Kiedy Vilma w końcu się obudziła, zobaczyła, że zasłony są odsłonięte i do pokoju wpada słońce.

— Przepraszam, że panią obudziłam, mademoiselle, skoro jest pani taka zmęczona, ale pan Blanc chce porozmawiać z panią o ojcu, zanim wyjdzie.

Vilma usiadła na łóżku.

— Która godzina?

— Wpół do jedenastej, mademoiselle.

— Wielkie nieba! Naprawdę tak późno?!

— krzyknęła Vilma i wyskoczyła z pościeli.

Marie pomyślała z pewnym żalem, że szlafrok panienki jest ładniejszy od jej sukienki. Vilma uznała, że pan Blanc jest czymś w rodzaju lekarza i może zobaczyć ją niekompletnie ubraną. Przewiązując długie włosy satynową wstążką, spytała:

— Gdzie jest pan Blanc?

— W buduarze, mademoiselle.

Buduar przylegał do sypialni ojca. Vilma poszła tam pośpiesznie. Pierre Blanc wyglądał właśnie przez okno.

— Bonjour, monsieur — powiedziała Vilma. — Przepraszam, ale poszłam późno spać i w związku z tym zasnęłam.

— Tak zwykle bywa w Paryżu, mademoiselle — odparł Pierre Blanc. — Chciałem po-

rozmawiać z panią o ojcu, bo już nie będę tutaj potrzebny.

Vilma spojrzała na niego zdziwiona.

— Czy to znaczy, że papa jest już zdrowy?

Uważała to za mało prawdopodobne, ale Pierre Blanc przytaknął.

— Kości się już zrosły i nie będą mu dokuczają, jeśli zachowa ostrożność przez co najmniej miesiąc.

— Jak to wspaniale, że udało się panu mu pomóc! Jesteśmy bardzo wdzięczni — powiedziała Vilma.

— Przypadek pani ojca nie był tak skomplikowany jak inne, z którymi miałem do czynienia. Upadek spowodował przesunięcie kilku kości, ale na szczęście mocno ich nie uszkodził.

— I naprawdę jest już zdrowy? — spytała Vilma, jakby nie mogąc w to uwierzyć.

— Jak mówiłem, musi na siebie uważać. I ostrzegłem go — żadnej jazdy konnej przez minimum sześć tygodni!

— Będzie trudno go powstrzymać tak długo — zauważyła Vilma.

— Myślę, że pani ojciec jest na tyle rozsądny, by nie dopuścić do powrotu tych silnych bólów, z jakimi tu przyjechał — oświadczył Blanc.

— Czy nie czuje się tak zmęczony jak wtedy, gdy pan stosował zabiegi? — spytała Vilma.

Pierre Blanc uśmiechnął się.

— Osłabienie, a raczej chęć snu w pewnym stopniu zostały wywołane ziołami, które mu podawałem.

Vilma cicho krzyknęła, a on mówił dalej:

— Najważniejsze było, by leżał jak najspokojniej, a trudno utrzymać aktywnego mężczyznę bez ruchu, a tym by sobie szkodził.

— Rozumiem — rzekła Vilma.

— Niech pani się stara, by ojciec miał jak największy spokój i jak już mówiłem, by przez sześć tygodni nie zbliżał się do koni.

— Daję panu słowo, że spróbuję — odparła Vilma — i naprawdę serdecznie dziękuję. Nie umiem wyrazić, jak bardzo jestem panu wdzięczna.

Uścisnęli sobie ręce na pożegnanie i Francuz wyszedł, zapewne do kolejnych czekających na niego pacjentów.

Po jego wyjściu Vilma poszła wprost do ojcowskiej sypialni.

Ojciec czytał w łóżku gazetę i wyglądał prawie zupełnie dobrze.

— Dzień dobry, Vilmo! — przywitał ją serdecznie. — Sądzę, że znasz już dobre nowiny.

— Słyszałam, papo. — Vilma pocałowała go na dzień dobry. — Jestem bardzo zadowolona i ogromnie wdzięczna panu Blancowi.

— On jest wyjątkowo zdolny, a to co słyszałem na jego temat, nie było przesadą — zauważył lord. Odłożył gazetę. — Możemy teraz wracać do Anglii, ale obawiam się, że przeze mnie ominęła cię większość balów.

— To nie ma znaczenia, papo — odparła Vilma.

— To ma duże znaczenie, bo to twój pierwszy sezon towarzyski, a gdzieś przecież będzie czekać na ciebie twój wybranek — wyjaśnił lord, starając się, by zabrzmiało to przekonywająco.

Vilma miała ochotę powiedzieć, że jedyne mężczyzna, na którym jej zależy, przebywa w Paryżu, ale jest nieosiągalny. Przyszło jej na myśl, że najlepiej będzie wrócić z ojcem jak najszybciej do Londynu. Nie potrafiłaby wyznać markizowi, że go oszukała. A jeszcze gorzej byłoby usłyszeć jego przeprosiny za to, że wziął ją za osobę z niższych warstw społecznych.

— Zrobimy tak, papo — rzekła. — Jutro wrócimy do Anglii, a skoro ty masz o siebie dbać, musimy zamówić salonkę w pociągu.

Lord odparł po chwili:

— To niezły pomysł. Sprawdź, czy uda się dołączyć taki wagon do ekspresu.

— Sprawdź — obiecała Vilma.



Pochyliła się, pocałowała ojca w policzek i powiedziała:

— Będzie wspaniale znowu znaleźć się w Anglii. Może uda się zapomnieć o tym, co się zdarzyło w Paryżu.

Mówiła to z myślą o sobie, ale lord odrzekł:

— Jestem niezmiernie szczęśliwy, że tu przyjechałem. Nie wierzę, że w Anglii znalazłby się ktoś, kto zrobiłby dla mnie to, czego dokonał Pierre Blanc.

Vilma wróciła do swego pokoju i szybko się ubrała. Potem posłała po zarządcę, który zawsze załatwiał wicehrabiemu sprawy związane z wyjazdami. Służący obiecał, że zaraz pojedzie na Gare du Nord i jeśli to będzie możliwe, załatwi prywatną salonkę w ekspresie do Calais. Vilma podziękowała mu i powiedziała, że chciałaby wyjechać z ojcem następnego dnia. Zarządca zrobił zmartwioną minę.

— To może być trudne, mademoiselle. Oni lubią wiedzieć z pewnym wyprzedzeniem, że potrzebna będzie salonka, bo nie zawsze jest w pogotowiu.

— To proszę załatwić ją na najbliższy możliwy termin — poprosiła Vilma. W tej samej niemal chwili został zaanonsowany Peter Hampton.

— Dzień dobry, panno Crawshaw! Vernon prosił, bym przekazał pani najświeższe nowiny

o jego zdrowiu. Ogólnie rzecz biorąc, jego stan jest zadowalający.

Vilma wstrzymała oddech.

— Cieszę się — powiedziała. — Bardzo się martwiłam.

— Lekarz przyszedł od razu rano — ciągnął Peter Hampton — i chociaż rana jest groźna, Vernon nie ma bardzo wysokiej gorączki. A temperatura powinna spaść w ciągu najbliższej doby.

— Czy nic go nie boli?

— Tego rodzaju rana zawsze dokucza, ale lekarz dał mu coś na sen i jestem pewien, że jutro będzie się czuł lepiej.

— Pewnie nic więcej nie możemy dla niego zrobić — rzekła Vilma.

— Zapewniam panią, że ma wszystko, czego mu potrzeba. Cesar Ritz bardzo się o niego martwił i przysłał mu owoce i kwiaty, i Bóg wie co jeszcze!

— Wiem, że to bardzo uprzejmy człowiek — oznajmiła Vilma.

Peter Hampton ciekawie rozejrzył się po pokoju.

— Vernon powiedział mi, że jest pani specjalistką od elektryczności. Czy pani planowała oświetlenie tego domu?

Po chwili wahania Vilma odpowiedziała:

— Nie, to nie ja. Obawiam się, że markiz przecenia moje umiejętności.

— Myślę, że była pani bardzo dzielna, przychodząc wieczorem na pojedynek — zauważył Peter. — Nie ma wątpliwości, że to pani uratowała Vernona przed ciężkimi obrażeniami, a może nawet przed śmiercią.

— Jak można zachować się tak podle?!

— Vilma nie kryła oburzenia. — Nie powinno się dopuścić, by hrabiemu uszło to na sucho i by mógł potraktować jeszcze kogoś w ten sposób.

— Proszę się o to nie martwić — odrzekł Peter Hampton. — Zrobię wszystko, żeby nikt więcej się z nim nie pojedynkował.

— Jak pan zamierza tego dokonać?

— Chcę opowiedzieć brytyjskiemu ambasadorowi o jego niegodnym zachowaniu, a jestem pewien, że sędzia, który liczy się w towarzystwie, poinformuje o tym kilku francuskich arystokratów, bardzo czułych na punkcie przestrzegania kodeksu honorowego.

— Bo tacy właśnie powinni być! — stwierdziła przejęta Vilma.

— Zgadzam się z panią, a skoro całe francuskie towarzystwo zastosuje wobec hrabiego ostracyzm, nie będzie miał więcej okazji, by zachować się tak haniebnie.

Peter Hampton spojrzął na zegarek i wykrzyknął:

— Jeśli chce złapać ambasadora przed lunchem, muszą lecieć!

— Dziękuję, że pan przyszedł — powiedziała Vilma. — Proszę przekazać markizowi życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

— Z pewnością przekażę — odparł Peter.

Vilma odprowadziła go do drzwi. Uświadomiła sobie, że gość przygląda się jej z nieskrywanym upodobaniem. Przytrzymał jej dłoń dłużej, niż należało, i rzekł:

— Do widzenia, panno Crawshaw. Wierzę, że jutro będę mógł przynieść pani następną relację o stanie naszego poszkodowanego.

— Mam nadzieję. Jeszcze raz dziękuję, że pan dziś do mnie przyszedł.

Patrzyła, jak odjeżdżał, po czym wróciła do salonu. Pomyślała, że skoro zamierza jutro wyjechać wraz z ojcem, powinna napisać do markiza. Musi mu uświadomić, że nie może starać się z nią skontaktować. To skończone... skończone — powtarzała sobie w myślach. Usiadła przy stojącym pod oknem biurku i wzięła do ręki pióro.

Nie zdołała wiele napisać do chwili, gdy została poproszona na lunch. Podano go na górze, bo ojciec chciał, by mu towarzyszyła przy stole.

Vilma rzuciła okiem na to, co napisała. Podarła kartkę na drobne kawałeczki i wrzuciła do kosza na śmieci.

Gdy weszła na piętro, przekonała się, że ojciec wstał z łóżka i w szlafroku przeszedł do buduaru. Na środku pokoju stał stół nakryty dla nich dwojga.

Na widok Vilmy lord wykrzyknął:

— Widzisz, kochanie, jestem już na nogach, ale Herbert nie pozwolił mi się ubrać i kazał wrócić do łóżka zaraz po spełnieniu tej dzikiej zachcianki, by zjeść z tobą lunch!

Vilma roześmiała się.

— Wiesz, że wszyscy musimy słuchać Herberta, a on oczywiście ma rację, papo. Pierre Blanc przekazał mi dokładne instrukcje, jak masz się zachowywać po powrocie do Anglii.

— Nie ma nic gorszego niż być inwalidą w rękach zrzedliwych kobiet, despotycznych służących i komenderujących nimi lekarzy! — zamruczał lord.

Jednak Vilma widziała, że jest szczęśliwy, że może już chodzić. Wypili z tej okazji po kieliszku szampana.

— Poprosiłam zarządcę, by zamówił dla nas salonkę, ale on powiedział, że może być trudno przygotować ją na jutro — poinformowała Vilma ojca.

— Sądzę, że uda mu się to załatwić, jeśli odpowiednio za to zapłacimy — skwitował lord cynicznie.

Miał oczywiście rację. Kiedy służący wrócił, oznajmił, że z najwyższym trudem, tylko dzięki wysokiej łapówce, załatwił salonkę w wieczornym ekspresie jadącym do Calais.

Vilma pomyślała, że może to nawet lepiej, bo ojciec będzie spał w pociągu. Trochę wypocznie przed dalszą drogą, a przeprawa przez kanał może być uciążliwa. Potem czeka ich jeszcze kilkugodzinna podróż pociągiem z Dover na dworzec Victoria.

Vilma podziękowała zarządcy za jego wysiłki. Wiedziała, że ojciec z pewnością sownie go wynagrodzi przed wyjazdem. Potem poszła do swej sypialni, by raz jeszcze zacząć pisać list. W końcu udało jej się sformułować kilka zdań, które uznała za uprzejme i szczerze. Przeczytała je ponownie:

*Baśń zbliża się do końca.*

*Trudno mi wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczna za Pańską grzeczność podczas mego pobytu w Paryżu.*

*Nigdy nie zapomnę, jak piękny jest plac Zgody. Będę też pamiętała o parku Bois i o wspaniałym obiedzie, na którym byliśmy w „Grand Vefour”.*

*Bardzo dziękuję za te wspomnienia. .*  
*Życzę Panu szczęścia*

*Vilma*

Włożyła list do koperty i położyła na biurku. Pomyślała, że da go Peterowi Hamptonowi, który miał przyjść nazajutrz.

Postanowiła kupić prezenty swoim przyjaciółkom, które tęskniły za nią na balach i przyjęciach podczas jej pobytu w Paryżu. Chciała zrobić specjalny prezent ciotce, która dokonała jej prezentacji na królewskim dworze.

Po południu podczas rozmowy z ojcem Vilma zasugerowała, żeby nie wracali do domu w Londynie, lecz pojechali na wieś.

— A co z twoimi balami i przyjęciami? — spytał lord z dezaprobatą.

— Nie mam na nie ochoty, papo. Wolę być z tobą, szczególnie gdy będzie cię męczyć zakaz konnej jazdy.

Dostrzegła na jego twarzy grymas uporu, dodała więc szybko:

— Musisz słuchać zaleceń Pierre'a Blanca. Będziemy spacerować po ogrodzie i łowić ryby, a nie robiliśmy tego od dawna.

Zrobiła małą pauzę i mówiła dalej:

— Jestem pewna, że zechcesz wprowadzić wiele ulepszeń w naszej posiadłości. Będziesz

miał okazję dokonać objazdu i wydać odpowiednie instrukcje.

Lord, który właśnie uświadomił sobie, z czego rezygnuje jego córka, objął ją ramieniem.

— Jesteś dobrą dziewczyną, Vilmo. Ponieważ pozbawiam cię rozrywek londyńskiego sezonu towarzyskiego, obiecuję, że jesienią urządzę dla ciebie największy i najwspanialszy bal.

Jego słowa wywołały w Vilmie poczucie winy. W gruncie rzeczy nie chciała wracać do Londynu, by nie być zmuszoną tańczyć z młodzieńcami, którzy nic jej nie obchodzili. Wiedziała, że żaden z nich nie wytrzyma porównania z markizem. Bała się również, że mogłaby spotkać go na którymś z balów, a tego chciała uniknąć za wszelką cenę. O wiele bezpieczniej będzie się więc czuła na wsi. Tam nie nadarzy się okazja, by natknąć się przypadkowo na markiza. Wiedziała, że gdyby go zobaczyła, nie umiałaby się powstrzymać przed rzucając się w jego ramiona. Błagałaby go, by znowu ją pocałował.

Wątpię, czyby tego pragnął, wiedząc, kim jestem — powiedziała sobie w myślach. — A poza tym wkrótce ożeni się z księżniczką.

Za dnia była bardzo dzielna, ale gdy zapadła noc, z płaczem wtuliła twarz w poduszkę.

\*



Tak jak się spodziewała, w południe zjawił się Peter Hampton.

— Przeszedłem z najświeższymi nowinami — oznajmił.

— Mam nadzieję, że jego lordowska mość czuje się lepiej — ceremonialnie odparła Vilma.

— Noc nie była miła. Jego lokaj powiedział, że nie mógł spać i rana go bolała.

— Więc nadal leży? — spytała Vilma.

— Oczywiście! — odparł Peter Hampton. — Lekarz zakazał mu wstawać przez kolejny dzień lub dwa.

To właśnie Vilma chciała usłyszeć. Przez chwilę rozmawiała z Peterem, a potem wręczyła mu list leżący na biurku. Przed wyjściem Hampton zaprosił ją na obiad, ale odmówiła.

— To bardzo miłe z pana strony, ale mój ojciec czuje się lepiej i chce, bym dotrzymała mu towarzystwa — odpowiedziała.

— Ponowię swą prośbę jutro, jeśli Vernon nadal będzie cierpiący.

Vilma była pewna, że gdyby Hampton wiedział, kim ona jest, nie zapraszałby jej na obiad sam na sam. Teraz z kolei on był przekonany, że ma do czynienia z córką elektryka.

Peter Hampton odjechał. Vilma wiedziała, że gdy zjawi się następnego dnia, nie zastanie już

jej w domu wicehrabiego. Zgodnie z poleceniem Herberta ojciec miał leżeć w łóżku aż do wyjazdu. Vilma obliczyła, że muszą ruszyć na dworzec około siódmej. Po lunchu usiłowała czytać książkę dla zabicia czasu. Jednak litery skakały jej przed oczami i nie docierało do niej ani jedno słowo. Z westchnieniem podeszła do okna, aby je otworzyć.

Na tyłach domu był niewielki ogród, o wiele mniejszy niż ogród hrabiego, w którym odbył się pojedynek.

Vilma dowiedziała się od Petera Hamptona, że hrabia został bardzo poważnie ranny. Nie umiała zapanować nad satysfakcją z tego powodu. Wiedziała, że nawet jeśli cierpi, to nie aż tak bardzo, jak chciał zranić markiza. Każda myśl o markizie sprawiała, że trudno jej było zapanować nad łzami. Jak przez mgłę patrzyła na ogród, gdy usłyszała, że otwierają się drzwi.

— Markiz Lynworth do pani, mademoiselle — zaanonsował służący.

Odwróciła się. Chociaż było to niewiarygodne, zobaczyła markiza. Miał rękę na temblaku i był bardzo blady. Poza tym był tak przystojny i pociągający jak zawsze. Służący zamknął za sobą drzwi.

Przez chwilę żadne z nich się nie poruszyło. Po prostu stali, patrząc na siebie. Vilma miała

wrażenie, że cały pokój przenika oślepiające światło. Potem markiz wolno ruszył w jej kierunku. Kiedy znalazł się obok niej, Vilma wyszeptała cichym, nieswoim głosem:

— Dlaczego przyszedłeś? Myślałam, że... lekarz zabronił ci wstawać.

— Nie mogłem leżeć, bo gdy dostałem twój list, wiedziałem, że wyjedziesz — powiedział markiz wyraźnie poruszony.

— Skąd wiedziałeś? — spytała.

— Myślę, że zawsze wiedzieliśmy, o czym drugie z nas myśli, nie potrzeba było słów — odparł.

Spojrzała na niego z obawą, może nawet z lękiem, jednak nie patrząc mu w oczy. Markiz rzekł cicho:

— Przychodzę, najdroższa, by prosić, żebyś uczyniła mi zaszczyt i została moją żoną.

Przez chwilę Vilma nie mogła złapać tchu. Potem patrzyła nań ze zdumieniem, gdy mówił:

— Wybacz mi! Jak mogłem być tak głupi i nie rozumieć, że poza tobą nic się nie liczy? Kocham cię, pragnę cię! Ty już jesteś moja, tak samo jak ja należę do ciebie.

— Ale... ale... — zaczęła Vilma.

Markiz objął ją ramieniem.

— Nie ma żadnego „ale”. Pobierzemy się, niezależnie od tego, co powiedzą ludzie z mo-

jej sfery. — Po tych słowach zaczął ją całować, a ona przywarła do niego całym ciałem.

Czuła, że tak jak powiedział, są nierozłączni i każde z nich jest częścią drugiego.

Kiedy markiz w końcu przestał ją całować, Vilma odezwała się:

— To źle, że tu przyszedłeś, skoro miałeś leżeć w łóżku.

— Jak mógłbym leżeć, skoro mogłem ciebie stracić? Ale jeszcze mi nie powiedziałaś, najdroższa, kiedy za mnie wyjdiesz?

Vilma położyła mu głowę na ramieniu.

— Kocham cię — wyszeptwała.

— I tylko to się liczy — odparł markiz.

Vilma chciała jeszcze coś powiedzieć, ale gdy tylko zwróciła ku niemu twarz, poczuła znowu jego pocałunki. Silne ramię obejmowało ją coraz mocniej. Wydawało się jej, że jest w niebie.

Potem usłyszeli skrzypnięcie drzwi. Vilma szybko odsunęła się od markiza, zdziwiona, że ktoś im przeszkadza. Obejrzała się i zobaczyła wchodzącego do pokoju nieznanego mężczyznę. Był w średnim wieku, miał przystojną twarz i władcą postawę.

Szedł w jej kierunku, kiedy nagle zobaczył markiza i wykrzyknął zdumiony:

— Wielkie nieba! To przecież Lynworth! Nie spodziewałem się ciebie tutaj! Przed godziną,

gdy przyjechałem, dowiedziałem się, że zostałeś ranny w pojedynku.

— Od kogo się dowiedziałeś? — spytał markiz.

— Twój sekundant mi o tym opowiedział, to mój krewny — odparł nowo przybyły. — Nie spodziewam się, by twój przeciwnik miał się lepiej niż ty. — Odwrócił się w stronę Vilmy. — A pani jest z pewnością moim gościem. Mogę jedynie prosić o wybaczenie, że nie było mnie w domu i nie mogłem powitać pani i pani ojca po waszym przyjeździe.

Vilma słuchała tego, jakby nie rozumiejąc. W końcu dotarło do niej, że to musi być gospodarz, wicehrabia, który nieoczekiwanie wrócił do domu.

Z pewnym wysiłkiem zdołała powiedzieć:

— Mój ojciec czuje się już lepiej. Jesteśmy bardzo wdzięczni, że pozwolił pan nam zatrzymać się tu na czas kuracji.

— Wiedziałem, że Blanc nie sprawi zawodu — odparł wicehrabia. — Ale służba powiedziała mi, że państwo chcą wyjechać dziś wieczorem.

— Papa nie może się doczekać powrotu do Anglii — wyjaśniła Vilma.

— Zapewne tęskni do swych koni. — Wicehrabia uśmiechnął się. Odwrócił się w stronę markiza i powiedział: — Jestem pewien, że zna-

lazłeś z Cuttesdalem wspólny język w sprawach dotyczących koni. Ucieszyła mnie wiadomość, że wygrałeś derby i oczywiście, że lord zdobył dwa tysiące gwinei.

Vilma widziała zdumienie na twarzy markiza. Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, wicehrabia zwrócił się do niej:

— Lady Vilmo, pójdę teraz na górę i pokażę się pani ojcu. Poczekaj na mnie, Lynworth, to napijemy się szampana. Czuję, że po walce masz na to wielką ochotę! — Roześmiał się z własnego dowcipu i wyszedł.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, markiz zapytał:

— O czym on mówił? Nie rozumiem.

— Wytłumaczę to — odpowiedziała Vilma. — Ojciec przyjechał do Paryża na kurację, ponieważ miał wypadek podczas konnej przejażdżki.

Zawahała się przez chwilę i ciągnęła dalej:

— Nie chciał, by ktokolwiek wiedział, że spadł z konia i uszkodził sobie kręgosłup. Przyjechaliśmy więc... pod przybranym nazwiskiem... no, niezupełnie, bo Crawshaw... to jeden z mniej ważnych... tytułów papy.

Zdawała sobie sprawę, że się zacina. Markiz wpatrywał się w nią ze zdumieniem i wyglądał na rozniewanego. Miała rację.

— Jak mogłaś mnie oszukiwać?! — wykrzyknęła. — Dlaczego mi nie powiedziałaś, kim jesteś?

Vilma spuściła wzrok i nie patrząc na niego, odparła:

— Papa upierał się, że nie chce spotkać tu żadnego z przyjaciół, by go nie wyśmiewano, że spadł tak pechowo z konia. Skoro byłeś przekonany, że moim ojcem jest elektryk, a ja mu pomagam, nie miałam odwagi wyprowadzić cię z błędu.

— Co więc robiłaś na drabinie w sypialni hrabiego? — spytał zdziwiony markiz.

— Podczas przewozu do hotelu stłukł się jeden z żyrandoli i pan Ritz przyszedł pożyczyć taki sam od wicehrabiego, bo wcześniej jedna z tutejszych lamp posłużyła jako wzór. — Rzuciła okiem na rozgniewanego markiza. — Pan Ritz zaprosił mnie, bym pojechała z nim obejrzeć hotel. I potem, gdy elektryk wyszedł po żarówkę, wycierałam ślady palców na żyrandolu, bo wiedziałam, że pan Ritz by się złościł na ich widok.

Spojrzała na markiza spod opuszczonych rzęs. Nadal wyglądał na rozgniewanego, więc dodała szybko:

— Pan Ritz wyszedł załatwić coś w hotelu i zostałam sama. Wtedy do sypialni wszedł hra-

bia i tak samo jak ty nabrał przekonania, że tam pracuję.

— Czy mam rozumieć, że to wszystko wynikało z twojej chęci pomocy Cesarowi Ritzowi?

— To brzmi głupio, gdy tak to sformułujesz, ale... on był taki dumny z doskonałości swego hotelu — wymruczała Vilma.

Markiz milczał, więc po chwili zaczęła prosić:

— Wybacz mi, błagam. Chciałam ci powiedzieć... wtedy, ale zasugerowałam...

Nie potrafiła powiedzieć nic więcej i markiz dokończył za nią:

— A wtedy pomyślałem, że jesteś córką elektryka, i poprosiłem, byś została moją utrzymanką! Jesteś pewna, że wtedy nie mogłaś mi powiedzieć?

Vilma podeszła do okna i stanęła zwrócona do markiza plecami.

— Wiem, że powinnam była... ale gdybym ci wtedy powiedziała... wyglądałoby, że ci się narzucam.

— Wobec tego byłaś gotowa odjechać, zostawić mnie i zapomnieć o mnie! — wybuchnął z wyrzutem markiz.

— Nigdy bym o tobie nie zapomniała — rzekła z przejęciem Vilma.

Zapadło milczenie. Potem markiz odezwał się:



— Wiem, że powinienem był szybko się zorientować, iż nie możesz być córką zwykłego elektryka. Czy możesz mi wybaczyć moją głupotę? I czy możesz mi odpowiedzieć na pytanie, które ci zadałem, przychodząc?

Vilma czuła, że serce jej mocno bije.

— Chcesz znać odpowiedź? — spytała.

Markiz objął ją ramieniem.

— Właściwie odpowiedziałas mi, gdy mnie pocałowałaś. Zostaniesz moją żoną. Teraz to okazuje się o wiele prostsze, niż sądziłem.

— A ty naprawdę kochasz mnie tak mocno, że byłeś gotów przeciwstawić się rodzinie i każdemu, kto byłby oburzony, że żenisz się z córką elektryka?

— Oczywiście! — oświadczył markiz. — Boję się, że jeszcze czekają nas kolejne pułapki. Ale wiem, najdroższa, że nie mogę bez ciebie żyć. I tak już uratowałaś mi życie podczas pojedynku.

Vilma położyła głowę na ramieniu markiza.

— Myślę, że sam Bóg podszeptał mi, iż muszę obserwować hrabiego, nie ciebie. Miałam przeczucie, że hrabia zrobi coś podłego, ale nigdy bym nie pomyślała, że będzie to coś tak szokującego jak zabicie ciebie strzałem w plecy!

— Nie musimy już się nim przejmować — stwierdził markiz. — Peter załatwił to wśród Anglików i powiedział mi, że nasz sędzia dopilnuje, by hrabia został wykluczony z towarzystwa we Francji.

Przytulił mocniej Vilnę, po czym powiedział:

— Możemy teraz porozmawiać o nas. Skoro mam ożenić się z osobą, która jest nie tylko bardzo piękna, ale także wysoko urodzona, nie ma żadnych powodów do niepokoju.

— Ale co z księżniczką? — spytała Vilna.  
Markiz wzruszył ramionami.

— Nie prosiłem jej o rękę, a skoro będę zaręczony, gdy ona przyjedzie do Anglii, będzie musiała poszukać męża gdzie indziej.

— Ale czy nie przysporzy ci to kłopotów, gdy nie poprosisz jej o rękę?

— Może to będzie niezręczna sytuacja, nie sądzę jednak, by ktokolwiek oskarżał mnie osobiście. A gdy zobaczą ciebie, najdroższa, będą doskonale wiedzieli, dlaczego wolałem ciebie od księżniczki. — Roześmiał się przy tych słowach. Potem pocałował ją jeszcze namiętniej niż przedtem. Wyglądało na to, że jest przekonany, iż nikt nie będzie przeciwny ich małżeństwu.

Wicehrabia szedł na dół i zwrócił się do Vilny:

— Pani ojciec prosi, byśmy wszyscy przyszli do jego buduaru na rozmowę. Mówi, że chętnie zobaczy też ciebie, Lynworth. Mam wrażenie, że chce porozmawiać o twoich koniach.

— A ja chcę z nim omówić o wiele ważniejszą sprawę! — odparł markiz.

Wicehrabia spojrział na niego, potem na Vilnę i powiedział:

— Sądzę, że wiem, o co chodzi, a może jestem niedyskretny?

— Vilna wychodzi za mnie za mąż — oświadczył markiz z dumą — i nie chcemy tracić czasu na omawianie wszystkiego.

Wicehrabia poklepał markiza po ramieniu.

— Moje gratulacje! Teraz, kiedy poznałem lady Vilnę, rozumiem, że ci się spieszy!

Poszli w trójkę na górę. Markiz trzymał Vilnę za rękę. Ona zaś czuła, że znowu wkracza w krainę baśni i że jej wyśniona historia wcale się nie skończyła. Wręcz przeciwnie, patrząc w oczy markiza, zrozumiała, że prawdziwa baśń się dopiero zaczyna.

Wicehrabia postanowił wkroczyć do akcji. Otwierając drzwi do pokoju lorda, zaanonsował:

— Jesteśmy, a pańska córka i Lynworth mają panu coś bardzo ważnego do powiedzenia.

Vilna puściła dłoń markiza i podbiegła do ojca.

— Nie złość się, papo — poprosiła. — Poznałam markiza podczas twojej kuracji i jesteśmy bardzo, bardzo szczęśliwi.

— O czym ty mówisz? O co chodzi? — spytał lord.

Markiz podszedł do jego fotela.

— Pańska córka, lordzie, obiecała, że za mnie wyjdzie. Mam nadzieję, że pan da nam swoje błogosławieństwo.

— Oczywiście, że tak — odparł lord. — Zawsze miałem nadzieję, że będzie mieć tyle zdrowego rozsądku, by wyjść za kogoś, kogo zaakceptuję, a cóż miałbym zrobić, skoro pana konie zawsze są lepsze od moich na mecie!

Markiz roześmiał się.

— Skoro pan zezwala mi poślubić Vilnę, sądzę, że możemy nie współzawodniczyć ze sobą, ale wystąpić razem przeciwko wszystkim innym hodowcom w kraju.

— Z przyjemnością się zgadzam — rzekł lord, a jego oczy rozbliły.

Dwaj starsi mężczyźni wzniesli toast szampanem za młodych i życzyli im szczęścia. Vilna odezwała się po chwili:

— Myślę, papo, że Vernon powinien wrócić do hotelu i położyć się do łóżka. Lekarz powiedział, że nie wolno mu wstawać przez co najmniej dwa dni, a on tu przyszedł, lekceważąc te zalecenia.

— Nie musi wracać do „Ritza” — zaproponował wicehrabia, zanim lord zdążył się odezwać.

— Możesz tu zostać, Lynworth, będziemy razem jadać kolacje, nawet jeśli ty i lord nie będziecie jeszcze mogli się normalnie ubrać.

— Ojciec i ja zamierzaliśmy wyjechać jutro — wtrąciła Vilma.

— Nonsens! — zawołał wicehrabia, ponownie nie dopuszczając lorda do głosu. — Nie pozwolę gościom opuścić mnie tak szybko. Chcę porozmawiać z pani ojcem o wyścigach, a oczywiście pani narzeczony też będzie mógł wyrazić swoje zdanie.

Przerwał na chwilę i patrząc na lorda, ciągnął dalej:

— Proszę zostać co najmniej dwa dni. Naprawdę jest mi pan potrzebny.

Lord rozłożył ręce.

— Jak mógłbym odmówić, skoro pan był dla mnie tak miły?

— Powiem zarządcy, by odwołał zamówienie na salonkę — oświadczyła Vilma — ale naprawdę sędzę, że Vernon powinien leżeć. Ma jeszcze gorączkę.

Wicehrabia wstał.

— Lepiej zrób, co ci każą, Lynworth. Możesz wybrać którąś z wielu tutejszych sypialni. Pośle do „Ritza” po twój bagaż.

Wyszedł z pokoju, a Vilma otoczyła markiza ramieniem.

— Czy chcesz, żebyśmy zostali?

— Czy myślisz, że pozwoliłbym ci odjechać do Londynu beze mnie? — odparł markiz. — Gdziekolwiek pojedziesz, pojedę wraz z tobą.

— Jest wiele spraw, które chcę omówić z wicehrabią — oznajmił lord — więc odpowiada mi przedłużenie pobytu o kolejne dwa dni.

Wstał i skierował się do swej sypialni. Tuż przy drzwiach powiedział jakby mimochodem:

— A tak przy okazji, czytałem w „Le Jour”, że na atak serca zmarł właśnie wielki książę Wittenbergi. Pamięta pan, Lynworth, że w zeszłym roku wygrał Grand Prix.

Wyszedł, nie zdając sobie sprawy, że markiz patrzy w ślad za nim, jakby nie wierząc własnym uszom. Vernon przytulił Vilmę z przekonaniem, że los mu sprzyja. Nie mógł uwierzyć, że to prawda.

Skoro zmarł wielki książę, nie może być mowy o przyjeździe księżniczki Helgi do Anglii. Z powodu żałoby nie może też być mowy o jej ślubie przez co najmniej rok. W ten sposób został zwolniony ze wszelkich zobowiązań, które mogła poczynić jego matka.

Tuląc do siebie Vilnę, czuł, że jest najszcześliwszym człowiekiem na świecie.

— Kocham cię, najdroższa. Kocham cię tak bardzo, że szkoda mi każdej chwili, gdy nie jesteśmy razem. Przekonaj swego ojca, że musimy się pobrać od razu! To znaczy, gdy tylko znajdziemy się w Anglii!

Vilna pocałowała go w usta.

— Chcę wyjść za ciebie, ale myślę, że musimy poczekać, aż twoje ramię się zagoi. Inaczej zbyt wiele osób będzie pytać, skąd ten temblak.

— Jedyne pytanie, na które zamierzam odpowiadać, brzmi: „Dlaczego cię kocham?” A odpowiedź jest prosta — bo jesteś najwspanialszą osobą na świecie!

— Proszę, daj spokój — powiedziała Vilna — ale jeśli o mnie chodzi, nie istnieje dla mnie żaden mężczyzna poza tobą!

Gdy markiz ją całował, wiedziała, że to prawda. Kochał go ze wszystkich sił. Czuła, że miał rację, mówiąc, iż stanowią jedno. Kiedy całował ją coraz gwałtowniej i namiętniej, zrozumiała, że znalazła miłość, jakiej każdy szuka, ale nie każdy znajduje. Ich miłość była nieuchronna, niewyciężona, wieczna.

Pocałunki markiza wprawiały w drżenie jej ciało. Widziała, że on także odczuwa błogość, która nią zawładnęła.

— Moja kochana! Moja najśodsza! Kobieta, jakiej szukałem przez całe życie! — szeptał markiz.

Potem istniała dla nich jedynie miłość, jak światło pochodzące od Boga. Ona chroniła ich i kierowała nimi przez wszystkie dalsze dni.

scandalous